

Prenumerata wynosi:
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk — 1 Rsb. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rsb. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8 Mrk. 3 Rsb. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rsb. 20 kop. Rocznie 16 kor. — 16 Mrk. — 7 Rsb. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.



Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA I ADMINISTRACYA **KRAKÓW**, ZACISZE 7. Nr TEL. 479.

Redaktor: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, Warszawa, Aleje Jerozolimskie 78.
Prenumeratę przyjmują Biura UNGRA w Warszawie, Wierzbowa 8 i Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi

Numer pojedynczy kosztuje 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok VI. Kraków, 5 czerwca 1909. Nr. 23.

Wiejska tragedya.

(Treść na str. 4).

Wiejska tragedya.

(Do illustracyi tytułowej).

Straszna, wstrząsająca tragedya rodzinna rozegrała się przed kilkunastu dniami we wsi Olszowicach koło Podgórza, a ofiarą jej padło życie młodej, 36-letniej kobiety.

We wsi wspomnianej żyła rodzina Kaimów. Od długiego czasu panowały wśród członków tej rodziny niesnaski i nieporozumienia, a przyczyną tego była nienawiść starej Kaimowej do synowej, Anny. W sprzeczkach i zajściach rodzinnych była Anna zawsze odosobniona, bo nietylko siostra jej męża, Wiktorya, ale i sam mąż stawał po stronie matki.

Stosunki te wyrodziły wreszcie taką nienawiść całej rodziny ku Annie, iż postanowiono pozbyć się jej, choćby przy pomocy zbrodni.

Sposobność do wykonania strasznego planu nadarzyła się rychło. Pewnego dnia wybuchła — jak zwykle — gwałtowna sprzeczka między starą Kaimową a synową. Od słów przyszło wnet do bójki krwawej. Matka, syn i córka rzucili się na synową i poczęli ją bez litości bić po całem ciele. Razy padały bez przerwy na nieszczęsną ofiarę nienawiści rodzinnej, to też wnet padła ona bez zmysłów na ziemię.

Rozwydrzonej „familii“ nietylko nie przeraziło to, ale przeciwnie, podrażniło do jeszcze straszniejszego czynu. Oto omdlałą Kaimową wynieśli oni z mieszkania na strych i tam, żywą jeszcze, powiesili na belce. Mieli zapewne nadzieję, że w ten sposób uda im się upozorować samobójstwo młodej kobiety.

Usiłowania te jednak na nic się nie przydały. Gdy bowiem następnego dnia stara Kaimowa podniosła lament i zaalarmowała sąsiadów wiadomością, że synowa się powiesiła, ogólna opinia wskazała zacną rodzinę jako sprawczynię śmierci Anny. Dowodził tego także wygląd zwłok ofiary. Były one całe okryte sińcami i ranami od razów, jakie na nią spadły.

W chwili gdy sąsiedzi, zwabieni płaczem, wbiegli na strych, stara Kaimowa przecięła siekierą sznur, na którym zwłoki wisiały. Te spadając, zawaliły powałę i wpadły do izby, co jeszcze bardziej powiększyło grozę straszliwej tragedyi.

Śledztwo wszczęte przez żandarmeryę dało tyle dowodów winy rodziny Kaimów, że wszystkich ich aresztowano i odstawiono do sądu karnego.

Nasza illustracya przedstawia pełną tragedyi scenę, gdy stara Kaimowa odcina siekierą zwłoki swej synowej.



Ustąpienie prof. Rehmana: Grono byłych i obecnych uczniów prof. Rehmana (X).

Parowcem na Bielany.

Do tradycyjnych zwyczajów mieszkańców Krakowa w dni Zielonych Świątek każdego roku należą wycieczki na Bielany, bądź pieszo, bądź furkami, bądź też statkami na Wiśle. To też o ile w te dni pogoda dopisze, podążają ku Bielanom istne tłumy ludności ze wszystkich sfer.

Najprzyjemniejszą jest niewątpliwie jazda statkiem parowym, największej też znajduje zwolenników. Organizacyą wycieczek parowcami zajmują się zwykle pewne towarzystwa krakowskie, a dochód z tego przedsiębiorstwa przeznaczają na cele oświatowe lub humanitarne.

W tym roku pogoda dopisała w oba dni Świąt, to też na Bielanach rojno było i gwarno. Kilka statków parowych krążyło nieustannie po Wiśle, przewożąc tysiące Krakowian do tej miłej, uroczej miejscowości.

Przystań dla statków w Krakowie urządzono na Groblach koło Zamku, tam gromadziła się publiczność, zamierzająca Wisłą udać się do Bielan, stamtąd też ruszały statki.

Rycina nasza przedstawia statek „Nadwiślanin“ przepełniony pasażerami, na chwilę przed podniesieniem kotwicy.

Wiec urzędników sądowo-kancelaryjnych we Lwowie.

Cicho i bez sztucznego rozgłosu, jaki nieraz podobnym aktom towarzyszy, odbył się w dniu 30 maja 1909 w sali ratusza miejskiego we Lwowie, pod przewodnictwem prezesa organizacyi, starszego naczelnika kancelaryi p. Kostrzewskiego II. krajowy wiec sądowych urzędników kancelaryjnych. Oprócz lwowskich urzędników sądowych wzięli udział we wiecu delegaci krakowscy, bukowińscy, tudzież stowarzyszeń urzędników pocztowych, rachunkowych, podatkowych i administracyjnych kancelaryjnych.

Po obradach trwających od godziny 10 rano do 2 popołudniu powziął wiec jednomyślnie rezolucye, domagające się: wprowadzenia jednorazowego urzędowania we wszystkich sądach na prowincyi, wydania dla urzędników państwowych pragmatyki służbowej z awansem czasowym, czynnej pomocy rządu w akcyi oddłużenia urzędników i reformy sądowej służby kancelaryjnej.

Nad wiecem tym społeczeństwo nasze nie może przejść w milczeniu do porządku dziennego, a sfery decydujące powinny zastanowić się dobrze nad doniosłością zapadłych na wiecu uchwał. Już sama treść ich wskazuje, że sądowi urzędnicy kancelaryjni dalekimi są od wszelkich żądań partyjnych, a organizacya ich w dążeniach swych objęła szerokie horyzonty potrzeb całego stanu urzędniczego i ludności wiejskiej i stanęła na gruncie czysto obywatelskim.

Dla nieobeznanych bliżej ze stosunkami sądowymi wiec ten ma jednak jeszcze inne, donioślejsze



Fot. M. Münz, Lwów.

Wiec urzędników sądowo-kancelaryjnych we Lwowie: Grupa uczestników wiecu z prezydyum w pośrodku.

znaczenie. Wiemy wszyscy od dawna, że sądownictwo nasze niedomaga, że wymiar sprawiedliwości jest jeszcze dziś za długi i za kosztowny i że sądy galicyjskie, z powodu panującego w nich przeciążenia, nie mogą podołać swemu zadaniu. Rząd domaga się z roku na rok powiększenia personalu urzędniczego, parlament stawia też podobne rezolucye, a prezydyum apelacyi lwowskiej oświadcza wyraźnie we Wiedniu, że bez dalszego wydatnego powiększenia sądowego personalu urzędniczego nie przyjmuje na siebie odpowiedzialności za dalsze prawidłowe funkcyonowanie maszyny sądowej. Tymczasem zapadła na wiecu rezolucya otwiera nam oczy, że powiększenia te nie są zgoła potrzebne, gdyż niekorzystny stan, jaki istnieje obecnie w naszem sądownictwie, da się zupełnie usunąć przez odpowiedniejszy podział czynności między urzędników sędziowskich a personal kancelaryjny i reformę służby kancelaryjnej przez usunięcie z niej wszystkich zbytecznych i niemających żadnego celu czynności pisarskich i manipulacyjnych.

Interesujący match footbalowy.

Na torze wyścigowym krakowskim rozegrano w oba dni Zielonych Świątek bardzo interesujący match footbalowy między klubem lwowskim „Czarnych“ a dwoma krakowskimi klubami, „Cracovią“ i „Wisłą“.

W pierwszym dniu walka toczyła się między „Czarnymi“ a „Wisłą“, została jednak nierozstrzygnięta, gdyż obie strony zrobiły po cztery bramki. Drugi dzień natomiast przyniósł „Cracovii“ świetne zwycięstwo nad „Czarnymi“. „Cracovia“ zrobiła pięć bramek, „Czarni“ zaś ani jednej.

Zwycięstwo to było nietylko świetne, ale i niespodziewane, gdyż klub „Czarnych“ ma opinię jednego z najlepszych w Galicyi a wycieczka do Czech i match z tamtejszą „Slavią“, choć zakończony przegraną, był dowodem dużego postępu w grze „Czarnych“.

Na gruncie krakowskim nie powiodło się jednak lwowskim footbalistom, zwłaszcza w drugim dniu. „Cracovia“ walczyła z wielką energią, atakowała śmiało bramkę przeciwników a doskonałe, niezawodne rzuty jej członków przynosiły jedno zwycięstwo po drugiem.

Match poniedziałkowy wykazał, że postępy, jakie „Cracovia“ w ostatnich czasach zrobiła, są ogromne, że klub ten może śmiało stanąć do walki z najlepszymi klubami zagranicznymi. Bo ma nietylko sporo dzielnych zapaśników, ale stanowi w całości drużynę świadomą celu, zgraną ze sobą i mającą taktykę doskonałą.



Interesujący match footbalowy: Drużyna „Czarnych“ ze Lwowa.

O chełmską gubernię.

Bardzo boleśnie dotknięte zostało społeczeństwo polskie zarządzeniem rządu rosyjskiego w znanej sprawie wyodrębnienia Chełmszczyzny. Na szeregu wieców zajmowała się polska ludność Galicyi tą sprawą i uchwaliła rezolucye przeciw odłączeniu Chełmszczyzny, jakkolwiek z góry można było wiedzieć, że rozolucye te skutku realnego nie będą miały i mieć nie mogły.

Najważniejszą może rolę w tej sprawie odegrał biskup prawosławny chełmski, Eulogiusz, który w celu przeprowadzenia odłączenia ziemi chełmskiej od Królestwa udał się do cesarza rosyjskiego do Petersburga i tam osobiście prosił o załatwienie sprawy w myśl żądań ludności rosyjskiej i prawosławnej. Życzeniu temu stało się zadość i dziś ziemia chełmska jest właściwie dla społeczeństwa polskiego go stracona.



Jubileusz straży ochotniczej: Uczestnicy obchodu. ✕ Naczelnik straży Majewski. 1. Radny dyr. Olszewski. 2. Radny J. Makowicz. 3. Radny J. Neuman. 4. B. naczelnik Hryniewicz.

Młodociani bandyci.

(Do illustracyi na str. 9).

Przed sądem przysięgłych w Kołomyi stanęli w ubiegłym tygodniu młodociani przestępcy, którzy w mieście i okolicy dopuszczali się napadów rozbójniczych, szerząc w około panikę. Na ławie oskarżonych zasiedli: Kiryło Bukojemski, uczeń prywatny tamtejszego gimnazyum ruskiego, Włodzimierz Homik, prywatny seminarzysta, który już przedtem karany był za zbrodnię kradzieży, Stefan Wełyczko, seminarzysta, Paweł Drozdowski, uczeń VI klasy gimnazyum ruskiego w Kołomyi, Aleksander Homik, nauczyciel ludowy, oraz rodzice Bukojemskiego, Kornel i Florentyna, właściciele folwarku w Cuculinie i jego brat Mikołaj, uczeń szkoły ślusarskiej w Świątnikach.



Nowy Szeik-ul-islam: Sahib Mollah.

Spółka młodocianych opryszków, z których najmłodszy liczy zaledwie lat 18, najstarszy 24, ma na sumieniu kilka napadów rabunkowych, jakich nie powstydziliby się rutynowani bandyci. W dniu 15 grudnia ubiegłego roku około 12 w nocy weszli oni przez okno do zamkniętego mieszkania ks. Smereczyńskiego, pokradli różne przedmioty, wartości kilkuset koron i rozbili piwnicę. W lutym b. r., przebrani do niepoznania, z przyprawionymi wąsami i należycieu zbrojeni, urządzili wyprawę zbójecką na dom Bożeny Filipowiczowej i jej sąsiada Hujwana, gdzie należycie się obłowili, wartość bowiem skradzionych przedmiotów dochodzi do 2000 koron. Ponieważ ich w czasie pracy spłoszono, Kiryło Bukojemski groził śmiercią zbudzonemu przypadkiem chłopcu, aby w ten sposób umożliwić towarzyszom ucieczkę. Skradzione przedmioty przesłali do domu rodziców Bukojemskiego w Cuculinie, częściowo zaś do Aleksandra Homika, nauczyciela w Traczu. Prócz tego ciąży na nich zarzut rozbójniczego napadu na dom Nuchima Schnöpfa, kantyniarza w Kołomyi, skąd prócz licznych prowiantów unieśli około 200 koron gotówką.

Do prawdziwych arcydzieł bandyckiej sztuki należą jednak nocne napady na dom ks. Pawluka, proboszcza w Piadykach, skąd zabrali srebro stołowe i futro, łącznej wartości 659 koron i na plebanię ks. Rusina w Korniczu, gdzie zrabowali prócz gotówki różne przedmioty wartościowe. W czasie obu tych napadów sprawcy byli zamaskowani i uzbrojeni w rewolwery. Gdy ks. Pawluk, obudzony hałasem, zapytał: Kto tam? — odpowiedzieli, że są rewolucyonistami i żądają pieniędzy. I tu i w Korniczu był w robocie rewolwer i siekiera.

Część zrabowanych przedmiotów udało się złoczyńcom spieniężyć, gotówkę częściowo przetrwonili, częściowo zaś ukryli. Homik, rutynowany już w rzemiośle złodziejskiem, przechowuje pieniądze w żołądku, połykając je jak kluski. Prócz powyżej przytoczonych ciąży na oskarżonych nadto jeszcze kilka innych kradzieży i zarzut kłusownictwa. Rodzice Bukojemskiego i nauczyciel Homik odpowiadają za przechowywanie skradzionych rzeczy.

Jak banda była należycie zorganizowana i na jak szeroką skalę planowała rozszerzenie swej działalności, świadczy okoliczność, iż członkowie jej zaopatrzyli się w ostatnich czasach w wytrychy różnego rodzaju i żelazne pancerze na piersi, które wykonał brat Kiryły, Mikołaj, uczeń szkoły ślusarskiej w Świątnikach, za co również znalazł się na ławie oskarżonych.



O chełmską gubernię: Biskup chełmski Eulogiusz.

Dzięki jedynie przypadkowi dostała się przyjemna spółka pod klucz, a mieszkańcy Kołomyi i okolicy odetchnęli nareszcie, gdyż dotąd nie byli pewni życia, ani mienia.



Wisłą na Bielany: Statek „Nadwiślanin“ przed wyruszeniem w drogę.

PAWEŁ MARGUERITTE.

CZARNA KSIĘŻNICZKA

23 Ciąg dalszy.

— Ja nie jestem tutaj do otwierania drzwi, do tego jest służba, Róża. Eugenia!

Ukazały się kucharka i pokojówka, powstrzymując śmiech na widok swych państwa w bieliźnie pod drzwiami.

— Róża, Eugenia, poczekacie, aż pani i ja wrócimy do apartamentów. a potem wprowadzicie pana komisarza z winnym mu szacunkiem.

Tak też i stało się. Gdy komisarz razem ze swym sekretarzem, dwoma ajentami i panem Mitre wszedł do pokoju, zastał Ninetkę spoczywającą na łóżku. Nascogriffa zaś ubranego w różowy, atłasowy szlafrok, w wielkim fotelu.

— Proszę, niech pan pozwoli. Proszę bliżej. Od tej chwili jest pan naszym gościem. Może zechce się pan ogrzać i ten starszy pan także, który drży z zimna.

— Nascogriffo! — upomniała go Ninetka, ktora spotkała się ze wzrokiem pełnym wzgardy pana Mitre.

— Przybyłem tutaj — rzekł komisarz — dla stwierdzenia zdrady małżeńskiej na żądanie obecnego pana Mitre. Pani zechce powiedzieć mi swoje imię.

Ninetka była zmięszana, straciła zupełnie pewność siebie, zwróciła się też z prośbą do komisarza:

— Proszę, niech pan komisarz prędzej kończy, niczemu nie przeczymy.

— Zupełnie nic — dodał Nascogriffo, zapalając papierosa i spytał się urzędnika i pana Mitre.

— Panowie pozwolą: czy dym nie przeszkadza?

Potem wymienił swe tytuły:

— Giovanni Pietro Andrea Nascogriffo, szlachcic, wielki mistrz orderu wysp karolińskich, były oficer dragonów peruwiańskich, dawny poseł z Mołdawii, właściciel kopalni srebra w Kalabryi...

— Dosyć, to już starczy — rzekł komisarz — teraz proszę to podpisać — i podał mu pióro.

Pan Mitre stał blady, bezsilny, z błędnemi oczyma, przechodząc w chwilach tych przez Kalwaryę swego pożycia małżeńskiego. Stał nieporuszony, aż komisarz zwrócił się do niego:

— Już możemy wyjść.

Nie odwrócił głowy na płacz wzruszonej Ninetki, był jak bez czucia. Gdy przybył do domu, zaledwie zdołał wejść do mieszkania i zaraz upadł na krzesło, szepcąc do matki;

— Teraz... zdaje... mi się... że już nic nie może zrobić Made. Już skończone.

XV.

NIESPODZIANE SPOTKANIE.

Pan Morailles miał spotkać się z Maud o trzeciej po południu. W oznaczonej porze wszedł do jej buduaru, lecz jakież było jego zdziwienie, gdy naprzeciwko wyszła mistress Harden:

— Ależ ona nie spodziewała się pana markiza przed obiadem. Zapewne jakaś pomyłka?

Mistress Harden zawsze była zwiastunem złych nowin, przy spotkaniu też z nią doznawał pewnego uczucia wstrętu, znosił ją jednak, gdyż była z rodzaju tych, które imponują.

— Nie mówi mi pan nawet dzień dobry? Czy nie dałam już raz dobrej rady?

— Dobrej rady?

— Tak, względem osoby, której pan bardzo nie lubi; zaczął już go pan rujnować?

— Ach, tak... Jeszcze nie.

— Lecz to się stanie?

Pan Morailles pomyślał o sześćdziesięciu tysiącach franków, jakie Maurycy Le Chars zaangażował za jego namową w akcyach i odpowiedział:

— Może być.

— O, pan nie ufa. Nie zasługuje pan, bym powiedziała, dokąd poszła Maud.

— Dlaczego ona na mnie nie czekała?

— A czyż miała oczekiwać? Pewnie zapomniała. Zresztą powiem: poszła do dawnej koleżanki z teatru.

— Tak?

— Do tej małej Alicyi Fossette, która miała jak pan wie, awanturę dramatyczną.

— W takim razie przyjdę na obiad.

Nie lubił, by Maud spotykała się z dawnemi koleżankami, a zwłaszcza mała Fassette nie była dla niej odpowiedniem towarzystwem. Nie okazał jednak tego i zamierzał wyjść.

— Ach, jak panu się spieszy; może to ja przeszkadzam?

— Co za myśl!

— Pan jest niezadowolony, że Maud nie czekała. Nie można się na nią gniewać, jeszcze z niej takie dziecko! A czy pan wie jedną rzecz?

— Będę wiedział, gdy mi pani powie.

— Na pana miejscu niepokoiłabym się stanem duszy Maud.

— Dlaczego?

— Z nią coś się dzieje. Zawsze była nieroztropna i fantastyczna, ja bym podejrzliwą była.

— Po co mi to pani mówi?

Uśmiech zwycięstwa pokazał się na ustach Czarnej Księżniczki.

— Przedewszystkiem jestem pana sojuszniczką; Maud mi powiedziała, że idzie do Fossette, lecz, czy to prawda?...

— Dlaczego nie miałoby to być prawdą?

— Czy Maud nigdy nie kłamała wobec pana?

— Nie zauważyłem tego.

— Ja bym sprawdzała jej słowa i czyny.

— Pani coś wie?

— Powiedziałabym, zwłaszcza gdyby pan przykładał do tego jaką cenę.

— Musiałoby to mieć wartość.

— Maud ma sekret.

— Jaki?

— Niech pan odgadnie.

— Proszę mi w tem pomódz.

— Będę szczerą. Czy chce mi pan podpisać czek na...

— Niech pani nie wspomina o cenie i mówi bez warunków.

— Prawda, że pan jest hojny. A więc sekret ten... zresztą to nie jest sekret... Zupełnie jest niewinna. Nie jest jej winą, że jest piękną, wzbudza namiętności, że starają się o nią.

— Kto? — zapytał pan Morailles — marszcząc brwi.

— To już pańska rzecz. Niech go pan odszuka. Mówię tylko, że jest ktoś taki.

— Nie chce mi pani powiedzieć jego nazwiska?

— Niech pan poszuka trochę, to pana zajmnie — odparła flegmatycznie mistress Harden, która wiedziała dobrze o zabiegach hrabiego Hartenberga.

Pan Morailles uśmiechnął się wzgardliwie.

— Chce pani, bym stał się zazdrosny?

— Wcale nie. Jestem pana sojuszniczką, choć mi pan nie dowierza. Może ja się niepokoję zbytecznie, zwłaszcza jeżeli panu nie zależy na miłości Maud?...

— Więc?

— Byłaby naiwną, gdyby pozostała wierną.

Mistress Harden radość sprawiało patrzenie, jak cierpi duma markiza; umyślnie chciała go irytować.

— Moje uczucia dla Maud są powszechnie znane. Nie lubię, by polowano na mojej ziemi; jeżeli kto stara się o Maud, spotka się ze mną.

— Przedtem trzeba go znaleść.

Pan Morailles powstrzymał swój gniew, który zaczął już go unosić. Umyślnie wzbudza we mnie zazdrość, by potem z tego skorzystać. Jaki może miec cel w obmawianiu swej wychowanicy? nie, to tylko z przyrodzonej swej złości mnie drażni.

Podniósł się i rzekł obojętnie.

— Widzę, że droga pani chce mi sprzedać skórę z niedźwiedzia, którego niema.

— Jak pan chce, tak niech pan sądzi.

— Ufam najzupełniej Maud.

— Ufność ta jest godna pana.

— Pani potrzebuje pieniędzy? dlaczego pani nie mówi mi tego. Pani wykręty są bardzo sprytne, ale nie godne pani. Proszę! czy tyle starczy?—podał jej zwitek banknotów bez liczenia.

Mistress Harden przeliczyła je i rzekła spokojnie:

— Na razie dosyć. Podejrzewa mnie pan, że to blaga?

— Niestety.

— Jest pan tak pewny siebie?

— Uważam, iż w moim świecie niema nikogo, którýby chciał protegować Maud, wiedząc, że ja się nią opiekuję.

— Co za próżność!

— Nie, to tylko duma. Przypuśćmy, że pani powiedziała prawdę.

— Więc?

— W takim razie niech pani poradzi temu komuś, by nie spotkał się ze mną na mojej drodze.

— Ponieważ?

— Ponieważ tak władam szpadą i pistoletem, iż w moich pojedynkach przeciwnikom stało się zawsze nieszczęście.

— A temu?

— Zgniotę go zupełnie.

W słowach tych i na twarzy pani Morailles widniała taka stanowczość, iż mistress Harden ustąpiła. Miaja już to, co chciała: pieniądze.

— *All right!* A więc przyjdzie pan na obiad.

— Tak, Maud o tem wie.

— Ona obecnie jest taka roztargniona....

— Już dosyć tego — zawołał porywczo markiz — prosze nie zwodzić mnie. Jeżeli pani wie, to niech powie, a będzie bogatą!

— Ależ ja nic nie wiem.

— Przed chwilą udawała pani, że coś wie...

— Nie wiem nic pewnego, tylko to, że Maud coś ukrywa przedemną. Jest zajęta, nieobecna....

— Pytała się jej pani?

— Zbywała niczem moje pytania...

Z zimną krwią kłamała, gdyż to ona pośredniczyła między Maud a hrabią Hartenbergiem. Markiz domyślał się czegoś, nie mógł jednak zrozumieć, dlaczego mistress Harden to wszystko mówiła mu.

Dla uspokojenia się pojechał do Lasku Bulońskiego. Po drodze przychodziły mu na myśl rozmaite szczegóły z ostatnich dni: wielka chęć Maud jak najprędszego powrotu do Paryża, naraz przypomniała mu się i ta okoliczność, jak szybko chowała list do stolika, gdy niespodzianie przybył do Fougeraie. Do kogo pisała? Do niego, do tego kogoś nieznanego, z którym go zdradza. Ach, jeżeli to prawda! I opanowała go już zazdrość i nienawiść większa, niż czuł do własnej żony.

W powrotnej drodze zatrzymał się na avenue Kleber przed sklepem, gdzie Maud kupowała zawsze różne przysmaki. Właściciel garbaty, czerwony Anglik, zwany przez nich sir Roasbeaf, pospieszył na spotkanie markiza, zachwalając mu swój towar. Markiz wybierał już żółwie morskie, z których przyrządza się doskonałą zupę, gdy naraz przez okno ujrzał Maud.

Dokąd może iść sama i pieszo? Dlaczego włożyła jakiś odmienny kapelusz i kostium, którego nigdy jeszcze u niej nie widział? Co to może znaczyć?

Markiz wyszedł pospiesznie ze sklepu, nie zważając na zdziwioną minę sir Roasbeafa i podążył o kilka kroków za Maud. Ujrzał, że weszła do jakiegoś eleganckiego domu, Co ona może mieć tu za interes? Naraz przypomniał sobie, że Amelia Trousset, czy też Nivoret zmieniła mieszkanie i przysłała mu właśnie świeży adres. A więc ona do niej idzie! Pobladł na tę myśl. Wiedział dobrze, jakiego rodzaju wizyty odbywają się w pracowni piór i kwiatów.

Chciał wejść do bramy, gdy naraz przed domem zatrzymała się kareta i wysiadł z niej wysoki, imponujący, o dumnej minie mężczyzna, z długą jasną brodą. Wszystko wskazywało w nim na siłę i bogactwo. Markiz poznał hrabiego Hartenberga.

Co za zbieg okoliczności! Hrabia Hartenberg, miloner, wielki magnat, wszedł do tego domu co i Maud w kilka chwil po niej. Pan Morailles zgrzytnął zębami. O nie, drwić z siebie nie da! Zbada wszystko.

Podszedł do stróżki:

— Pani Nivoret?

— Na drugiem, proszę pana, windą, ale są i boczne schody, na prawo.

Dla tych, którzy chcą uniknąć spotkania. Doskonale! Ta Amelia o wszystkiem pomyślała.

Zadzwonił. Drzwi otworzyła pokojówka, która go wprowadziła do salonu. Ujrzał tu same wielkie kartonowe pudła z kwiatami, piórami i kapeluszami. Weszła Amelia. Na widok pana Morailles zatrzymała się nagle, lecz w tejże chwili uśmiechnęła się radośnie:

— Ach, pan markiz? co za niespodzianka!

— Przyrzekłem pani przyjść obejrzeć nowe mieszkanie, a ponieważ przechodziłem koło pani domu...

— Bardzo się cieszę. Uważam to dla siebie za zaszczyt. A jak się ma Maud, czy już powróciła do Paryża?

— O tak już — odpowiedział swobodnie pan Morailles.

— Czy nie wybiera się mnie odwiedzić? Już chyba sto lat jej nie widziałam.

Markiz podziwiał zimną krew i pewność siebie Amelii, która mówiła dalej:

— To mała niewdzięcznica, a ja ją tak lubię.., Jak upływa państwu czas we dwoje?

— Doskonale. A pani? Zawsze zadowolona?

— Nie mogę się skarżyć, Interesa idą dobrze Tylko zdrowie Lola...

— Lola?...

— Pana Nivoret, mego męża.

— Ach, pan Nivoret!

— Ciągle muszę go pielęgnować. Sprawiam mu kąpiele świetlne, elektryczne, siarkowe; bezustanna troska o jego zdrowie...

— To przejdzie... lecz może pokaże mi pani swój apartament?

Amelia zdawała się być niezadowolona z tego, odpowiedziała jednak:

— Z wielką przyjemnością!... Chociaż dla pana markiza nie będzie tam nic interesującego.

— Dlaczego?

— Pan markiz, wierny swojej Maud, nie odwiedza mnie, nic też u mnie nie zaciekawi pana markiza. Ale proszę..

I poprowadziła go przez szereg pokoi umeblowanych bogato, które świadczyły, że interes kwiatowo-piórowy bardzo się opłaca.

Przed jednemi drzwiami zatrzymała się i rzekła po cichu:

— Nie przeszkadzajmy jednemu z moich przyjaciół, Karolowi de la Glandiere.

I dodała z uśmiechem:

— Niewinny flirt z jedną damą z najlepszego towarzystwa.

Odwracając tak uwagę markiza, zastawiała sobą drugie małe drzwi. Obudziło to jego podejrzenie, które zamieniło się w pewność, gdy zapytał:

— A tutaj?

— Nic, to pokój służbowy.

Spostrzegł na twarzy Amelii pewne zmieszanie. Zanim zdążyła mu przeszkodzić, otworzył drzwi. Ten pokój służbowy okazał się buduarem w stylu Ludwika XI, z przyborem do herbaty na stole. W miękkich fotelach siedzieli naprzeciwko siebie hrabia Hartenberg i Maud Kiss.

— Oh! — odezwał się markiz impertynencko — mogłaś mi, Maud powiedzieć, że wolisz towarzystwo pana niż moje,

Maud zbladła, hrabia podniósł się z fotelu i rzekł:

— Znajduję to dziwnem, że pan pozwala sobie wejść tak obcesowo do mnie.

— Do pana? Maud, może zechcesz powiedzieć hrabiemu, że tam, gdzie ty jesteś, ja zawsze mam prawo wejść.

— Pan nie ma żadnych praw względem pani.

— Tutaj pan się myli...! A jeżeli potrzebuje pan lekcyi, by o tem przekonać się...

Hrabia Hartenberg spojrzał dumnie.

— Lekcyę mogę tylko dać, ale nie przyjąć.

— Lecz jedną proszę przyjąć — rzekł pan Morailles i szybkim ruchem ręki dał mu prztyka w nos.

Hrabia pobladł, zaczerwienił się, żyły nabrzmiały mu na czole. Zdawało się, iż rzuci się na markiza i zgniecie go. Poszanowanie jednak dla form światowych było silniejsze w nim od gniewu.

— Wyrównam z panem rachunek, dając kapitał i procent. Na razie proszę opuścić ten pokój.

— Mam ten zamiar. A kochana Maud, nie chce mi towarzyszyć?... Pani Amelio, proszę zażyć kropli uspokajających, bo pani zemdleje... Lecz i ty, Maud, jesteś bladą! Pozostawiam cię więc, ten pan się tobą zajmie!

I, hamując swoją wściekłość, wyszedł.

XVI.

TAJEMNICZE PRZEJŚCIE.

W przeciągu godziny pan de Morailles znalazł już dwóch sekundantów i zatelefonował do dr. Szaffroy, asystenta doktora Cruk, który posiadał w Auteuil wielki dom zdrowia dla chorych nerwowych.

Na obiedzie, nie u Maud jednak, lecz w klubie markiz spotkał obydwu swych świadków i doktora. Wszystko było już ułożone: bić się będą jutro o jedenastej godzinie w sali szermierki w Lasku Bulońskim, wynajętej przez księcia d'Eylan, jednego ze swych sekundantów.

Po obiedzie, na którym okazał się zupełnie swobodnym, a nawet wesołym, markiz szybko pożegnał swych towarzyszy i siadł w wynajęty samochód o sile 40 koni. W niedługim czasie znalazł się pod murem, otaczającym park w Roche Forte, w odległości kilkunastu kroków od ukrytych drzwiczek. Spojrzał na zegarek: była jedenasta godzina w nocy. Kazał szoferowi zagasić dla ostrożności latarnie, przeszedł przez drzwiczki i skierował się przez boczną, zadrzewioną aleję do swego tajemniczego pasażu. Dochodził już do niego, gdy zabiegły mu drogę dwa psy, Athos i Myrra, która była zupełnie mokra, jednocześnie rozległ się głos:

— Kto tam?

— Ojciec Landry już mnie nie poznaje?

— Przepraszam pana markiza, winienem był domyśleć się, kiedy psy spokojne... Niech pan markiz nie martwi się, obu paniczom nic już nie grozi.

— Co takiego?

— To pan markiz nic nie wie? Zdawało się, że dlatego pan markiz przyjechał tak prędko niespokojny?

— Ale co się stało?

— Telefonowano do pałacu do Paryża, ale widać nic panu markizowi nie powiedzieli. Omal obydwaj panicze nie utopili się.

— Andrzej! — zawołał pan Morailles, myśląc z początku tylko o dziedzicu swego nazwiska.

— Tak wzięli, złą barkę. Pan markiz wie już, że ona do niczego niezdatna, całe jej dno przecieka. Markiz wiedział o tem, nie chciał nawet jej reparować, kierując się tajną myślą, iż może goście jego wybiorą się tą łodzią na spacer.



Zanim zdążyła mu przeszkodzić, otworzył drzwi.

— No i co?

— Zdaje się, iż pan Andrzej zaproponował panu Jackowi jazdę po jeziorze, dlatego, że jak tylko został ocucony, zaraz sam odważnie oskarżył się: Proszę nie gniewać się na Jacka, bo to ja go namówiłem do tego...

— Jak to się stało?

— Na środku stawu spostrzegli, że łódź wodę nabiera, chcieli czemprędzej przybić do brzegu, lecz najechali na pień i woda ich zalała. Właśnie wracałem razem z paniami ze spaceru, ja byłem jako grom, gdy usłyszeliśmy wołania ich. Pani markiza zawołała: Ratujcie ich, ratujcie, lecz nikogo nie było, nawet ogrodnika, tylko biegł szybko pan Le Chars z obandażowaną ręką. Myrra rzuciła się do wody i wyciągnęła pana Jacka.

— A Andrzeja?

Stary leśnik odpowiedział z prostotą:

— Zdaje mi się, proszę pana markiza, że to ja. Ale woda była zimna...

— Mój dzielny Landry!...

— Mnie to nic, ale o dzieci chodziło... Zaraz je wytarto do czerwoności i ułożono w ogrzanych łóżkach.

— A teraz?

— Ani nawet cienia niebezpieczeństwa. Doktór Morane teraz przybył, o! słyszę nawet, że znowu idzie. Czy pan markiz chce spytać doktora?

— Niech Landry posłucha, co powiem, nikt nie powinien wiedzieć, że jestem w zamku, przyjechałem tylko po ważne papiery i zaraz jadę; jutro pojedynkuję się.

— Słucham pana markiza! — rzekł spokojnie stary leśnik.

Zdobył on sobie niejedno odznaczenie w ostatniej wojnie; pojedynek nie więcej go zajmował niż polowanie: wiedział o mistrzowstwie swego pana w władaniu szpadą.

— Niech Landry sam spyta doktora i przyprowadzi go koło tego muru, bym słyszał, co będzie mówił.

— Zaraz to zrobię.

I stary Landry poszedł do oświetlonych drzwi, przy których rozmawiał z kimś doktór.

— Ach, to wy, mój Landry. Markiz i Markiza powinna na waszą intencyę zanieść wielką świecę do kościoła. Bez was....

— Niech pan doktór o tem nie mówi. Myrra to zrobiła, co i ja a jak się mają panicze?

— Jutro i śladu nie będzie z tego wszystkiego, swoją nieroztropność przypłacą tylko katarem. Ale wy mój Landry, powinniście być już w łóżku i pokrzepić się gorącem winem. W waszym wieku musicie strzedz się przeziębienia.

— Niema więc żadnej obawy o dziedzica, panie doktorze?

— Ależ nie, najmniejszej. Dobranoc Landry, kładźcie się spać, a przedtem nie żałujcie sobie wina gorącego.

Doktór oddalił się, leśnik powrócił do markiza.

— Słyszeliście rozkaz doktora, musicie zaraz go spełnić.

— Proszę pana markiza, dzisiaj na mnie przypada dyżur.

— Dyżurujcie w łóżku z butelką wina... Ja tak chcę, mój drogi Landry.

Leśnik skłonił się; nie można było sprzeciwiać się woli pana Moraillesa.

— Landry!

— Do rozkazu pana markiza!

— Podajcie mi rękę. Uratowaliście od śmierci mego syna, nigdy o tem nie zapomnę....

— Tylko swój obowiązek spełniłem, panie markizie.... Ale Myrra sprawiła się dobrze.

— Tak, bądźcie zdrowi... Ani słowem nikomu, mnie tu nie było, nie widzieliście mnie...

— Tak jest.

— Wy mnie rozumiecie, Landry— dodał pan Morailles, czując konieczność jakiegoś wytłomaczenia. Przed pojedynkiem potrzeba spokoju. Za kwadrans stąd odjadę.

— Dostałem rozkaz pana markiza i to mnie starczy.

— Dobranoc Landry; nie zapominajcie, co powiedział doktór: łóżko i gorące wino!... Jeszcze raz wam dziękuję z całego serca.

— Pan markiz już mnie wynagrodził.

Pan Morailles czekał aż leśnik oddalił się. Otworzył drzwi do tajemniczego korytarza i dostał się do swej garderoby.

W głowie miał cały huragan najsprzeczniejszych myśli. A więc już, gdyby nie Myrra, wolny byłby od tego bękarta i patrzyłby na rozpacz swej żony i jej wspólników, już los mu dopomagał do zemsty... ach, przeklęty pies! I z powodu tego paryasa, Andrzejowi, jego jedynemu synowi, groziło niebezpieczeństwo!...

Myśl ta wzbudziła w nim jeszcze większą nienawiść do żony, Jacka i tego mieszczańskiego małżeństwa, które posiada jego tajemnicę. W dodatku i Maud go zdradza... lecz on stawi wszystkiemu czoło i wszyscy tarzać się będą z bólu pod jego zemstą. Chciał, by powróciły te czasy, gdy jego przodkowie sztyletem lub trucizną uwalniali się od swych wrogów. Ale on straszniejszą jeszcze ma broń i z radości uśmiech drwiący skrzywił mu twarz.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Nietakt burmistrza wiedeńskiego.

Wiedeńczycy obchodzą obecnie z wielką uroczystością setną rocznicę śmierci „austryackiego“ kompozytora Józefa Haydna, twórcy melodyi hymnu ludowego. Z powodu tej rocznicy odbył się w Wiedniu kongres muzyków a uczestnicy kongresu udali się w ubiegłym tygodniu do miejscowości Eisenstadt na Węgrzech, gdzie znajduje się grób Haydna. Tam odbyło się uroczyste nabożeństwo żałobne, w czasie którego ustawiły się wszelakie deputacye w tym porządku, w jakim miały składać wieńce na grobie sławnego muzyka. Był też w gronie obecnych burmistrz Wiednia dr. Lueger w towarzystwie wiceburmistrza i kilku radnych miejskich.

Zaraz po nabożeństwie dr. Lueger oświadczył, że nie zgadza się na taki porządek składania wieńców, jaki wyznaczono, gdyż jemu, burmistrzowi Wiednia, należy się pierwsze miejsce. Żądanie to uznano za słuszne i uczyniono mu zadość.

Podczas uroczystości składania wieńców zabrał dr. Lueger głos, przyczem wspominając o zasługach Haydna, jako twórcy hymnu ludowego, wytknął Węgrom, że tym hymnem ludowym pogardzają i nie pozwalają go u siebie grać ani śpiewać. Następnie zaś posłał jednego z swych urzędników do właściciela Eisenstadtu ks. Esterhazyego, z oświadczeniem, że nie może wziąć udziału w bankiecie, wydanym przez księcia, ani w koncercie uroczystym na zamku, ponieważ z programu tego koncertu wykreślono hymn ludowy, skomponowany przez Haydna.

Zajście to przedstawia w sposób powyższy *Neue fr. Presse*. O ile sprawozdanie to jest zgodne z prawdą, to spodziewać się należy jeszcze większego zaognienia stosunków austryacko-węgierskich, gdyż Węgrzy z pewnością będą żądać zadośćuczynienia z powodu nietaktu burmistrza stolicy Austryi.



Nietakt burmistrza wiedeńskiego: Burmistrz Wiednia dr. Lueger (X) w otoczeniu deputacyi wiedeńskich w pochodzie na grób Haydna w Eisenstadt na Węgrzech.

Tegoroczni laureaci Akademii Umiejętności.

Najwyższa polska instytucya naukowa, a mianowicie krakowska Akademia Umiejętności, ma corocznie do rozdania pewną ilość nagród, pochodzących z fundacyi rozmaitych osób, które poczyniły na ten cel znaczne zapisy. Pomiędzy temi nagrodami znajdują się także nagrody z fundacyi ś. p. Probusa Barczewskiego, przypadające co pewien czas artystom malarzom lub rzeźbiarzom i historykom. W roku bieżącym nagrody te dostały się: Jackowi Malczewskiemu za obraz (tryptyk) p. t. „Grosz czynszowy“ i drowi Stanisławowi Tomkowiczowi za dzieło p. t. „Wawel“.



Odznaczenie zasłużonego kapłana: Ks. prałat Józef Schmidt.

Jacek Malczewski, który nagrodę im. Barczewskiego otrzymał obecnie poraz trzeci, zajmuje wśród żyjących polskich malarzy stanowisko wyjątkowe. Jego wielki talent, opierający się na mistrzowskiem owładnięciu techniką, jego niepospolita inteligencya artystyczna i duch gorącego patryotyzmu, jakim owiane są jego kompozycye, wszystko to w połączeniu z wytrwałą pracą sprawiło, że stał się naszą chlubą, artystą, którego dzieła są niejako odzwierciedleniem duszy współczesnej Polski.

Obraz (tryptyk), za który teraz dostał Malczewski nagrodę, znany jest w Krakowie z wystawy Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych. Pole środkowe tego tryptyku przedstawia znaną z N. Testamentu scenę, gdy faryzeusz przedkłada Chrystusowi pieniądz z wizerunkiem cezara, boczne zaś skrzydła stanowią dwa odmienne autoportrety artysty. Malczewski, biorąc ten temat, zużytkowany już w słynnym obrazie przez Tycyana, okazał dużo śmiałości, która go jednak nie zawiodła, bo jego obraz nie ustępuje arcydziełu mistrza weneckiej szkoły.

Bardzo dobrze scharakteryzowany został ten obraz i działalność Malczewskiego w sprawozdaniu komitetu, który rozpatrywał dzieła ubiegające się o nagrodę Barczewskiego. Powiedziano tam między innemi:

„Jeżeli w utworach epoki ostatniej szedł on utartymi przez siebie szlakami, to wśród dzieł z r. 1908, niepospolitych jak zwykle, było jedno, w którem talent ten wyjątkowy objawił się z nową siłą i które świadczy, że twórca jego nie zatrzymał się, lecz ciągle idzie naprzód. Jest niem tryptyk olejny, nazwany „Groszem czynszowym“. W czasach, kiedy w malarstwie polskiem zaprzeczyć się nieda bezwzględnie prawie panowanie studyum malarskiego, komitet w tym utworze widzi zwrot do kompozycyi, przez inteligencyę artystyczną obmyślanej i dającej też widzowi do myślenia, a wykonanej z takim zasobem środków technicznych, jakim dziś mało kto, nietylko u nas, ale w całej sztuce europejskiej rozporządza“.

Przypominamy przy tej sposobności, że Jacek Malczewski, urodzony 1855 roku w Radomiu, był ulubionym uczniem mistrza Matejki, pod którym ukończył krakowską Szkołę sztuk pięknych, a który od pierwszej chwili poznał się na nim i przepowiedział mu świetną karyerę artystyczną.

Drugi laureat, dr. Stanisław Tomkowicz, członek czynny Akademii Umiejętności i prezes Koła konserwatorów na Galicyę zachodnią, jest jednym z najwybitniejszych polskich historyków sztuki, człowiekiem, który całe swe życie i niepospolitą erudycyę poświęcił badaniom i opiece nad zabytkami naszej przeszłości.

Wśród ogromnej ilości prac większych i mniej-



Tegoroczni laureaci Akademii Umiejętności: Dr. Stanisław Tomkowicz.



Tegoroczni laureaci Akademii Umiejętności: Jacek Malczewski, malujący w ogrodzie przy swej pracowni.

szych w tym zakresie, wysuwa się na pierwsze miejsce ostatnie jego dzieło pod tytułem: „Wawel“, w którem — wedle zdania ludzi kompetentnych — poraz pierwszy ukazał się całokształt dziejów królewskiego zamku, budowli kościelnych, z wyjątkiem Katedry i świeckich, jakie wznosiły się kiedykolwiek na tem historycznem wzgórzu. Monografia ta jest rezultatem długoletniej, a żmudnej niesłychanie pracy, dla dokonania której autor musiał przewertować stosy źródeł rękopiśmiennych i drukowanych. Z założonego zadania wywiązał się dr. Tomkowicz znakomicie, tak że, jak wyraża się komitet, kwalifikujący prace do nagród Barczewskiego, „dzieło jego będzie odtąd podwaliną wszelkich przyszłych badań nad Wawelem, a jest rezultatem sumiennej pracy i wielkiej znajomości rzeczy“.

Dr. Tomkowicz urodził się r. 1850 w Krakowie, którego zabytki historyczne ukochał całą duszą i w licznych monografiach opisał, podobnie jak zabytki najbliższych jego okolic. Ogłosił on oprócz wielu prac w języku polskim z zakresu literatury i historyi sztuki, także pokaźną liczbę prac w języku niemieckim, a między innemi w „Sprawozdaniach c. k. Centralnej komisyi dla zachowania i badania artystycznych i historycznych pomników“ w Wiedniu.

Nowy pomysł angielskich sufrażystek.

Ruch emancypacyjny, jaki w bieżącem stuleciu rozszerzył się pomiędzy kobietami Europy, nigdzie nie występuje z taką siłą jak w Anglii. Tamtejsze sufrażystki postanowiły za każdą cenę przeforsować swe postulaty i zmusić swych tyranów, za jakich uważają brzydszą część rodzaju ludzkiego, do przyznania im zupełnego równouprawnienia z płcią męską, gdyż wedle ich przekonania dopiero wówczas zapanuje prawdziwy raj na ziemi. Gasną więc ogniska kuchenne, dzieci chodzą w dziurawych pończochach, mężowie sami przyszywają guziki, a panie radzą i obmyślają coraz to nowsze środki, jak zwrócić uwagę publiczną na siebie i swe żądania. Zaciekłość, z jaką dążą do celu, pobudza rzecz prosta i rodzaj męski, który z godną uznania energią broni swych zagrożonych pozycyi.

Działalność swoją pragną angielskie panie rozszerzyć i na inne kraje Europy, wysłały więc jedną z najpiękniejszych przedstawicielek do Berlina, aby tam założyła podwaliny dla nowego ruchu. Praktyczne Niemki przyjęły ją jednak zimno, zrzekając się urojonych korzyści, jakie nowy ruch ma im przynieść, mężczyźni zaś z zapałem oklaskiwali piękną agitatorkę, która z niczem powróciła z nad Sprewy nad Tamizę i obwieściła towarzyszkom, że znane z praktyczności Niemki ani myślą z rąk swych wypuścić berła domowego, choćby za cenę zasiadania w Radach miejskich, sejmie i parlamencie. Skoro więc nie udała się ekspedycya agitacyjna, z tem większą zapalczywością wzięły się angielskie panie do pracy u siebie, aby powetować moralną klęskę, jaką poniosły od kobiet niemieckich.

Ponieważ dotychczasowe występy, jak przywiązywanie się do poręczy w parlamencie, napaści w miejscach publicznych na mężów stanu i inne tym podobne kawały spowszedniały już Anglikom i nie odnoszą pożądanego skutku, wpadły sufrażystki na



Nowy pomysł angielskich sufrażystek: Oddział sufrażystek z bębnami i piszczałkami przeciągający ulicami Londynu.

owy, dla uszu swych mężów, ojców i braci, barzo przykry pomysł. Zorganizowały mianowicie oddziały uniformowanych zwolenniczek, które z bębnami (w dosłownem tego wyrazu znaczeniu) i piszczałkami przeciągają ulicami Londynu i przypo-



Młodociani bandyci: Włodzimierz Homik, jeden z hersztów bandy.

minają lubiącym spokój Anglikom, iż ich siostry i połowice ani na chwilę nie zapominają o swych dążeniach, ale ile sił i możności walczyć będą w ich obronie.

Jest to iście szatański pomysł pań angielskich, dzięki któremu może uda im się przeprzeć swe żądania. Każdy z nas wie, że już dźwięki fortepianu w nieodpowiedniej zastosowane chwili, są w stanie wyprowadzić z równowagi pana domu i małżonka, a cóż dopiero powiedzieć o takim harmonijnym zespole, jak bębnów i piszczałek! Angielscy politycy mając na względzie całość swych uszu, gotowi wreszcie zgodzić się na żądania przedstawicielek płci pięknej.

Odznaczenie zasłużonego kapłana.

Serdecznym i gorliwym opiekunem duchownych spraw nielicznego społeczeństwa katolickiego w Czerniowcach, jest od szeregu lat ks. prałat Józef Schmidt, tamtejszy proboszcz obrządku rzymsko-katolickiego. Jako Polak, jest też ks. prałat Schmidt przewodnikiem Polonii czerniowieckiej, która czci w nim nietylko kapłana wzorowego, ale i patryotę zacnego, oddanego całą duszą sprawie narodowej na Bukowinie.



Młodociani bandyci: Kiryło Bukojemski jeden z hersztów bandy.

Miłe też wrażenie wywołała wśród Polonii miejscowej wiadomość, iż cesarz odznaczył ks. prałata Schmidta orderem żelaznej korony, dając w ten sposób wyraz uznaniu za jego tyloletnią pracę i za jego wielkie około Kościoła zasługi.

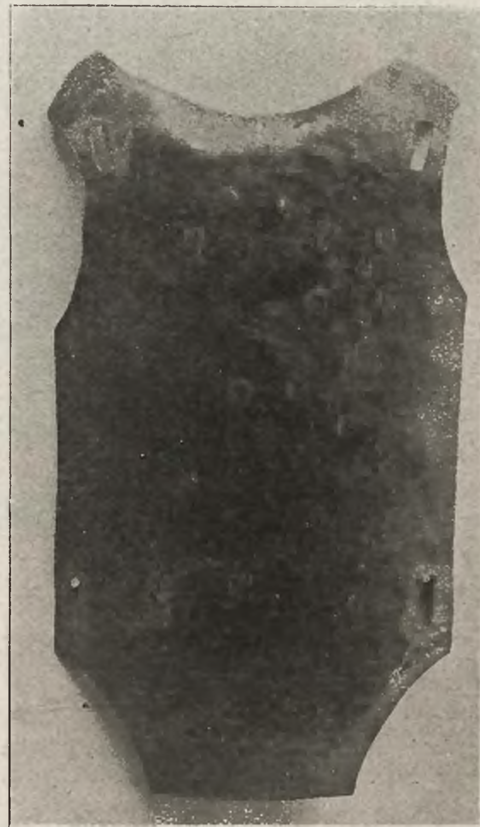
Z okazyi tego odznaczenia zamieszczamy w dzisiejszym numerze portret ks. prałata Schmidta.

Arystofanes na scenie tarnowskiej.

Klasyczne dzieła dramatu greckiego, tragedye Sofoklesa, komedye Arystofanesa, pojawiają się często w ostatnich czasach na deskach teatrów współczesnych i budzą podziw dla swych niepospolitych zalet artystycznych.

Kilka sztuk klasycznych wystawił w Krakowie teatr miejski i Koło artystyczne miłośników dramatu klasycznego, a także młodzież gimnazyum tarnowskiego próbuje swych sił na tem polu. W zeszłym roku wystawili uczniowie tego zakładu „Żaby“ Arystofanesa, o czem w *Nowościach Ilustrowanych* wspominaliśmy w swoim czasie.

Obecnie zaś wystawiono tam komedyę Arystofanesa „Rycerze“, w doskonałym przekładzie prof.



Młodociani bandyci: Pancerz ochronny, sporządzony przez Mikołaja Bukojemskiego, ucznia szkoły ślus. w Świątnikach.

Organizacya uczniów szkół średnich w Krakowie: Rada pułkowników z pułkownikami, naczelnikiem i zastępcą w pośrodku.



Romantyczna przygoda we Lwowie: Wanda Sachsówna.

Butrymowicza, jednego z najlepszych dziś tłomaczy dzieł ateńskiego komedyopisarza.

Wartości tłomaczenia odpowiadały usiłowania młodzieży, która odegrała tę niezwykle piękną rzecz z wielkim pietyzmem. Zadanie młodzieży w tym roku było łatwiejsze o tyle, że doświadczenie z roku ubiegłego wsparło dzielnie ich dobre chęci.

Reżyserya sztuki spoczywała w ręku prof. Pryzińskiego, a w ciężkiem tem zadaniu sekundowali mu tłomacz dzieła prof. Butrymowicz i prof. Kurek.

Rycina nasza przedstawia trzech profesorów wraz z gronem uczniów-amatorów.



Romantyczna przygoda we Lwowie: Stanisław Sachs.



Romantyczna przygoda we Lwowie: Adela Sachsówna

Arystofanes na scenie tarnowskiej: Uczniowie gimnazyum w Tarnowie, występujący w komedyi Arystofanesa „Rycerze“. 1. tłomacz prof. Butrymowicz, 2. reżyser prof. Pryziński. 3. prof. Kurek.

Dr. A. WYLM.

KORALOWY RÓŻANIEC

10 Romans psychiczny. Dokończeni

— Proszę bardzo.

— Czy wie pan, że pan Leyre został ciężko ranny w nocy dwudziestego trzeciego marca?

Pan Delille spojrzał na mnie zdumiony.

— Czyż to możliwe! — rzekł.

— Owszem, bardzo możliwe: sam przewiązywałem jego ranę: jeszcze się nie wyleczył, gdyż raniona jest jego dusza, jak i ciało.

— Ach, to niezwykłe! Pan słyszał, co mówiła żona doktorowi Quinsac, przypomina pan sobie może starą cygankę? Tyle tylko o tem mogę powiedzieć.

Sam wezwałem ją, by przyszła w nocy do willi. Zdziwiłem się jej punktualnością i pośpiechem; gdy żona została przeniesiona do powozu, wróciłem do sali tanecznej i powiedziałem starej cygance, by przyszła zaraz do mnie. Przyrzekła to uczynić.

Gdy weszła do pokoju, w którym się znajdowałem, zbliżyła się do mnie i wręczyła mi z wielką ostrożnością nóż, mówiąc do ucha:

— Duch jest tutaj; siedzi u nóg ducha pana żony; niech pan uderzy z prawej strony krzesła, które stoi koło pana. Nie chciałem tego zrobić, wtedy ona wzięła nóż i szepła pocichu: uwolnię pana od niego, niech mi pan da dwadzieścia duros; dałem je jej bez namysłu, wtedy rzuciła się ona w to miejsce, na które wskazywała.

Teraz zdarzyła się rzecz niezwykła, która mnie bardzo zaniepokoiła: żona krzykła przeraźliwie i padła bez czucia na łóżku: podbiegłem do niej i spostrzegłem ślady krwi na lewej ręce. Stara wróżbiarka pokazała mi nóż ociekający krwią i odezwała się:

— Musiałam go zabić, lub ranić śmiertelnie.

Przerażony tą historyą, odprawiłem cygankę, która mi zostawiła nóż. Zwolna czerwone znaki krwi z ręki mej żony ulotniły się, a na drugi dzień i nóż był czysty. Nie wspominałem o tem, sądziłem bowiem po zniknięciu plam krwi, że cyganka, by mnie oszukać, powalała tylko ręce żony i ostrze noża jakimś płynem. Lecz to, co mi pan powiedział o tajemniczej ranie pana Leyre'a zatrważa mnie znowu.

Pozostałem zamyślony, rozważając tłomaczenie ks. Jaugi o tym wypadku: na podobne zdarzenia można natrafić w średniowiecznych opisach procesów czarownic. Pan Delille zdziwiony mem milczeniem, zapytał, co myślę o tem wszystkiem.

— Jest to najdziwniejsze z tych niezwykłych przygód pana Leyre'a i pańskiej żony — odpowiedziałem — przechodzi to granice nietylko naszej wiedzy, lecz i wyobraźni. Mówił pan o tem ojcu Furster?

— Tak, mówiłem.

— I cóż na to powiedział?

— Pozostał zamyślony przez chwilę, jak i pan, a potem rzekł, że mnie cyganka oszukała; nie wiedział prawdopodobnie o ranie pana Leyre'a.

— A pani Franchard nie wspominała panu o tem? Zatelefonowałem do niej tegoż dnia, kiedy pan Leyre został ranny.

— Nic mi nie mówiła.

— Zapytamy o to proboszcza, który zna się na takich rzeczach. Lecz powróćmy do naszej pierwszej rozmowy. Co pan zamyśla uczynić wobec tak ciężkiego stanu zdrowia żony?

— Chcę jej powiedzieć, by nie rozpaczała, gdyż zażądamy unieważnienia ślubu kościelnego, a łatwo znajdziemy pretekst potrzebny do rozwodu cywilnego. Dowiodę jej, że jestem dla niej tylko dobrym przyjacielem, gotowym do wszelkich poświęceń dla przywrócenia jej zdrowia.

— Jest to najlepsza rzecz, jaką można uczynić.

Przyjechaliśmy. Udałem się wprost do pani Delille, gdzie zastałem i jej matkę.

Stan chorej wzbudził we mnie litość: tak schudła, iż zdawało się, że tylko kości i skóra na niej pozostały: nie odzyskała jeszcze przytomności i oddychała wolno i ciężko. Członki jej były sztywne i zimne: puls bił bardzo słabo.

Co czynić? Byłem wobec chorej bardzo wrażliwej, uczuciowej i nerwowej. Uznałem za nieroztropne budzić ją nagle, spróbowałem metody pośredniej, choć niepewnej, w każdym razie nieszkodliwej. Przeciągałem ręką po jej twarzy i piersiach i lekko chuchałem w jej oczy. Po kwadransie odetchnęła wolniej, a jednocześnie znikła i sztywność: w dziesięć minut potem otworzyła oczy.

— To pan doktór — rzekła — cieszę się bardzo, że pana widzę.

— Przyjechał po mnie rano pani mąż i przyjaciel — odpowiedziałem, kładąc nacisk na ostatnie słowo. — Zdaje mi się, że już skończyły się pani udręczenia, teraz trzeba leczyć się starannie.

— Już jest za późno, panie doktorze.

— Cóż znowu! Pan Delille przynosi pani skuteczne lekarstwo.

— Tak, droga Łucyo — odezwał się wtedy mąż. — Winienem prosić cię o przebaczenie, że nie chciałem zwrócić ci słowa. Wybaczysz mi, gdyż trudno było pogodzić mi się z myślą, że muszę zrzec się radości z posiadania ciebie za żonę. Gdybym znał istotny stan rzeczy, sam doradzałbym ci, byś odmówiła mi. Nic jednak nie jest jeszcze straconego, gdyż możemy żądać i otrzymać unieważnienie małżeństwa; bolesnem jest mi to, lecz i radosnem, że w ten sposób przywrócę ci zdrowie. Obecnie przestaję być twoim mężem, a pozostaję tylko szczerym i oddanym przyjacielem. Nie trudno zrzec mi się praw, z których nie korzystałem — dodał, śmiejąc się.

Pani Delille wyciągnęła rękę do swego męża.

— Dziękuję ci za twą dobroć. Wiem, że serce twoje nigdy nie odmówiłoby mi litości, lecz ja nie mogę żądać zbyt wielkiego poświęcenia. Jestem twoją żoną i mam obowiązki względem ciebie. Nie mogę wystawiać twego nazwiska na plotki; lepiej, żeli przez śmierć swą zwrócę ci wolność, zwłaszcza że nie wiele już mi pozostaje do życia. Przepraszam cię, że nie byłam dla ciebie prawdziwą małżonką; Bóg wie, że woli mej brakło sił.

— Nie byłbym rycerskim, gdybym nie uważał swego poświęcenia za wielkie, kiedy ty mnie opuszczasz, lecz pozostaje mi nie mniej szlachetna rola, pomaga ci w odzyskaniu swobody. Takie poświęcenie jest dla mnie najzaszczytniejszem; pozwól mi więc dopełnić go.

Łucya rozczuliła się i zapłakała; uznałem za stosowne wmieszać się teraz.

— Postanowienie pani męża jest takie, jakiego można było spodziewać się. Jestem jednego z nim zdania, rola, jaką na siebie przyjął, odznacza się niezwykłą delikatnością. Zjedna mu ona pochwały i uznania wszystkich kobiet, o co pani jednak nie będzie zazdrosna. Pozwoli pani teraz porozumieć się z baronem, gdyż nie możemy nic postanowić bez jego zgody, spodziewam się jednak, że da się przekonać. Wszystko będzie dobrze. Za chwilę powrócę znowu do pani.

Pani Franchard wyszła razem z nami; zapytała mnie o zdrowie córki.

— Córka pani wyzdrowieje bardzo prędko, o ile tylko baron nie będzie opierał się. W przeciwnym bowiem razie nie długo pożyje. Umrze ze smutku i anemii.

— Pójdę z panem do męża, — rzekła baronowa stanowczym głosem, jakby chciała dać poznać, że teraz nie podda się jego woli.

Baron przyjął nas zaraz w swym gabinecie. Postarzał się bardzo; jak wszyscy ludzie, którzy przykładają zbyt wielką wagę do opinii publicznej, cierpiał z tego powodu, iż stał się przedmiotem rozmów w okolicy. Niepowodzenia małżeńskie jego córki nie były znane, szybki jednak powrót z podróży młodych małżonków, przewlekła choroba pani Delille, bezustanne wizyty lekarzy obudziły ciekawość w sąsiednich zamkach. Mówiono już o widzeniach pani Delille, przeistaczając do gruntu fakty, nazywano wprost młodą mężatkę waryatką. Wieści te dochodziły do barona i bardzo go denerwowały.

Mimo wszystko upór jego trwał. Należał już do rodzaju ludzi, którzy będą używali wszystkich środków pośrednich by naprawić swój błąd, nie pomyślą jednak o przyznaniu się do winy i odrobienia tego, co złego uczynili.

— Jak pan znajduje córkę, zapytał po zamienieniu grzeczności powitanych.

— Stan jej pogorszył się od ostatniej mej bytności: obecnie należy nie tylko działać, ale działać prędko.

— Co czynić, mój Boże! co czynić?

— Pan baron jest prawnikiem, a prawo tylko może nam w tym wypadku udzielić prawdziwej pomocy. Słaby organizm córki pańskiej ulega niszczącemu działaniu smutku wywołanego małżeństwem; trzeba więc przerwać je. Tego zdania jest i pan Delille.

— Pan Delille godzi się na rozwód?

— Narazie niema mowy o rozwodzie. Pierwszą trudnością jest rozwiązanie ślubu kościelnego. Czy można żądać jego unieważnienia?

Pan Franchard namyślał się przez chwilę, nie poddano mu jeszcze tego sposobu, jak większość osób świeckich nie znał on giętkości prawa kanonicznego, którego nauka o małżeństwie, była daleko więcej humanitarną, niż nasz kodeks cywilny z przed dwudziestu lat.

— Unieważnienie małżeństwa? — powtórzył, — to niemożliwe: w prawie kanonicznem małżeństwo jest nierozwiązalne.

— Tak, ale nierozwiązalność odnosi się tylko do małżeństw dokonanych. Małżeństwo nie dokonane nie może być nierozwiązalnem, ponieważ w istocie nie jest ono małżeństwem.

— Należy poradzić się jakiego duchownego, obeznanego z temi sprawami.

— Zdaje mi się, iż się nie mylę, zapewniając pana barona, że Ojciec święty posiada prawo unieważnienia małżeństw, które nie zostały dokonane.

Pan Delille potwierdził to ruchem głowy.

— Nie wiem, czy to unieważnienie można łatwo otrzymać — rzekł znowu pan Franchard — powtarzam więc, iż należy poradzić się specyalisty w prawie kanonicznem.

— Tak, to słusznie: lecz jeżeli można spodziewać się uzyskania tego, niech pan pozwoli swej córce przedsięwziąć odpowiednie kroki.

Pan Franchard zamyślił się znowu: wahał się, co ma uczynić, myślał zapewne o rozmowach, jakie podobna sprawa wywoła.

Tutaj odezwała się baronowa z energią, o jaką nigdy nie posądzałbym ją. Osoby ciche stają się często najodważniejszemi, gdy zdecydują się na działanie.

— Nie można teraz wahać się — rzekła do męża. Za długo już czekamy. Nie poświęcę życia swego dziecka dla jakichś przesądów. Jeżeli małżeństwo można unieważnić, należy uczynić to natychmiast.

Pan Franchard został oszołomiony stanowczością, z jaką mówiła jego żona. Powolny w myśleniu nie mógł się zdobyć na szybką odpowiedź, spoglądał tylko na nas w zdumieniu swemi wyłupiastemi oczami.

Wtedy wystąpił przeciw baronowi i pan Delille.

— Co się mnie tyczy, to ja już powziąłem postanowienie. Wniosę sprawę o unieważnienie. Bardzo kocham swą żonę, lecz uczynię wszystko, co tylko będzie odemnie zależało, by wrócić jej wolność konieczną do zachowania życia.

— Jeżeli tak się, moje drogie dziecko, zapatrujesz na tę sprawę — rzekł pan Franchard — to kwestya jest już rozwiązana i moja interwencya jest niepotrzebna.

— Owszem, jest potrzebna, panie baronie — odezwałem się — gdyż pani Delille chce się poddać woli pana: pozwoli mi pan dodać, że wspólna akcya przedsięwzięta przez oboje małżonków, z których każde będzie mieszkało u siebie, lecz zachowają stosunki wzajemnej ufności i serdeczności, będzie najlepszą tamą przeciw złym językom. Wstrzymanie się jednego z małżonków uczyni trudniejszą decyzyę Ojca świętego.

Zwolna światło przenikało do umysłu pana Francharda. Ustąpił, uważał jednak, iż dla zachowania swej godności, winien to wytłomaczyć swą miłością ojcowską:

— Zdrowie mej córki zbyt jest mi drogiem, bym nie był gotów do wszelkich poświęceń. Jeżeli unieważnienie małżeństwa może przyczynić się do polepszenia jej stanu, użyję wszelkich swych wpływów, by je otrzymać.

— Czy upoważnia mnie pan baron do zainteresowania tą sprawą Ojca świętego?

Pan Franchard popatrzył na mnie zdziwiony. Jak zwykły lekarz może dotrzeć wprost do Ojca świętego, gdy on, baron Franchard, nie ma sam osobistych stosunków w kuryi. Dla ostrożności też dodałem:

— Proszę o to pozwolenie na wypadek tylko gdy będę miał możność to uczynić.

— Chętnie się zgadzam, doktorze — odpowiedział baron.

Poszedłem do Łucyi: pan Delille, baronowa i ja zanieśliśmy jej dobrą nowinę o zgodzie ojca, tak jednak była wycieńczona i zdenerwowana, iż nie mogła odczuć jej doniosłości. Zaryzykowałem sugestyę, nakazując chorej przerwanie widzeń i sen od szóstej godziny wieczorem do dziesiątej rano, a także zażądałem, by rozłączyła się z listem pana Leyre'a.

Następnie powróciłem do siebie samochodem pana Delille'a, który mnie odwiózł, by zaraz rozpocząć kroki rozwodowe.

Po przybyciu do domu napisałem do Quinsaca obszerny list, w którym mu przedstawiłem całą sprawę szczegółowo i prosiłem, by równocześnie ze mną zawiadomił o niej naszego wspólnego znajomego, przybocznego lekarza Ojca świętego. W ten sposób zdołamy najłatwiej i najlepiej przedstawić

całą rzecz stolicy apostolskiej i przyspieszyć pomyślne jej załatwienie.

Następnie udałem się do pana Leyre'a i opowiedziałem o swej wizycie w Balizac: przedstawiłem mu, jak wszystko zaczyna pomyślnie się obracać, nadmieniłem jednak, iż dla osiągnięcia dobrego wyniku koniecznem jest, aby zaprzestał nocnych widzeń: jest to niezbędnem dla przywrócenia do zdrowia tak pani Delille jak i jego samego. Nie będę odpowiadał ani za jego życie, jeżeli w dalszym ciągu będą niszczyli swą energię życiową. Nadzieja, jaką mu teraz dałem, tak wpłynęła na niego, iż bez żadnych trudności oddał mi różaniec i przyrzekł długo i spokojnie sypiać.

Tak minęło dwa tygodnie. Byłem kilka razy w Balizac, ponawiając swą suggestyę na Łucyę. Doprowadziłem do tego, iż sypiała po ośmnaście godzin na dobę. Siły jej pod wpływem nadziei wzrastały szybko. Również i pan Leyre tak prędko poprawiał swój stan zdrowia, iż po tygodniu mógł już wstać z łóżka. W tym czasie widziałem się także z arcybiskupem i kilkoma wpływowemi osobami ze świata duchownego, by jak najskuteczniej poprzeć sprawę wniesioną przez małżonków Delille.

Wreszcie dostałem i z Rzymu pomyślną wiadomość: kolega rzymski opowiedział Ojcu świętemu historyę moich protegowanych i tak go nią zainteresował, iż papież zażądał szczegółowego sprawozdania o tem i kazał przypomnieć sobie całą sprawę za dwa, trzy tygodnie.

Wiadomości tej udzieliłem Łucyi, która pod jej wpływem uczuła się zaraz zdrowszą. Wraz z ustaniem sennych widzeń poprawiał się i stan jej zdrowia: przypisywałem to tak wpływom swej suggestyi jak i usunięciu listu pana Leyre'a i koralowego różańca.

W końcu maja pani Delille mogła już wyjść ze swego pokoju. Pierwsze ukazanie się jej przy stole, dało okazyę do małej uroczystości rodzinnej, do której należałem i ja wraz z proboszczem. Mąż Łucyi z wielkiem zadowoleniem spełniał swą rolę oddanego przyjaciela: bawił nas opowiadaniem o swych staraniach, postępie sprawy i najrozmaitszych trudnościach procesowych, z którymi jednak dawał sobie radę jego adwokat, ojciec Furster.

Poprzednio już nadeszło do konsystorza wezwanie z kancelaryi papieskiej, by przyspieszyć wstępne badania: polecono przytem zasięgnąć mej opinii jako eksperta o objawach sennych pani Delille, jej stanie zdrowia i o następstwach, jakiemi grozi jej obecne małżeństwo. Okoliczność ta dodała mi wiele powagi w oczach barona i jej to raczej, niż swym staraniom winienem zawdzięczać zaproszenie na śniadanie w kółku rodzinnem. Baron do tego stopnia był rozczulony obecnością córki przy stole, iż kazał podać najlepszego swego szampana, nie omieszkał jednak przytem nadmienić swoim zwyczajem, odkąd to już w piwnicach jego znajduje się ten trunek.

Po wielu trudnościach, jakie musieli znosić moi młodzi kochankowie, nastawał i dla nich szczęśliwy okres życia. Została założona nowa katedra chemii w uniwersytecie i na nią powołano pana Leyre'a.



— Podaj rękę panu Leyre — odrzekł pan Delille do żony.

W ten sposób zdobywał sobie możność nietylko poślubienia Łucyi, ale i otoczenia jej wygodami. Pan Delille zapragnął poznać swego szczęśliwego rywala i obydwaj młodzi ludzie poczuli dla siebie sympatyę i powzięli wzajemny szacunek, okoliczności jednak nakazywały im wielką ogłędność w stosunkach.

W lipcu otrzymałem taki list od medyka papieskiego, iż natychmiast o nim zatelegrafowałem do pana Delille; przybył on zaraz samochodem, robiąc po 75 kilometrów na godzinę. Gdy przeczytał ten list, rzekł mi:

— Musi pan koniecznie przybyć jutro do mnie do Laferriere na śniadanie. Proszę powiedzieć panu Leyre, że uczyni mi wielki zaszczyt, jeżeli przyłączy się do pana i mnie odwiedzi. Przyjadę po panów samochodem. Pragnę zaprosić także baronostwo z Łucyą, dra Dussirona i proboszcza, nie uprzedzę ich jednak o obecności profesora. Ten figiel chcę zrobić żonie.

Pan Leyre odmówił, gdy jednak udał się do niego osobiście pan Delille i ponowił w serdeczny sposób swe prośby, przyjął zaproszenie. Gdyśmy przyjechali już dość późno do Laferriere, pan Delille wprowadził nagle do salonu swego przeciwnika. Trudno przedstawić zdumienie państwa Franchard i wzruszenie Łucyi.

— Podaj rękę panu Leyre — rzekł pan Delille do żony — i choć tym jedynym razem czyń honory mego domu. W bliskiej przyszłości nastąpi zmiana naszych ról, zwrócił się z uśmiechem do młodego profesora.

— Ah! — zawołała Łucya — rzucając się na szyję panu Delille, gdy wzruszony Leyre ściskał go serdecznie za rękę, pozwól, bym cię uściskała jako prawdziwego, idealnego przyjaciela.

— Chcę ci okazać, droga Łucyo, że jestem idealnym, rzeczywistym przyjacielem, ale niestety — dodał ze smutnym uśmiechem — nie jestem wyśnionym mężem. Zanim też usiądziemy do stołu, poproszę pana doktora, by przeczytał list, jaki otrzymał z Rzymu.

Trzymałem już przygotowaną w ręku tę radosną wiadomość.

„Kochany Kolego.

Ojciec święty wspominał mi znowu o twojej sprawie. Jak najlepiej jest usposobiony dla twoich protegowanych, wkrótce też nastąpi unieważnienie małżeństwa. Jego Świątobliwość nadmienił mi, iż zapewnie odbędzie się niedługo nowy ślub, w takim razie przyśle swe błogosławieństwo dla przyszłych małżonków, ale pod jednym warunkiem: pragnie posiadać ten przedmiot nabożeństwa, związany z tak dziwną historyą; polecił mi powiedzieć ci to i oświadczyć, że ten cenny koralowy różaniec będzie uważał za dowód uległości zakochanych dla Stolicy apostolskiej“.

List ten wywarł takie wrażenie na baronie, iż rozczulony błogosławieństwem i życzliwością papieską zbliżył się do stojących koło siebie młodego profesora i córki i rzekł:

— Łucyo, podaj rękę panu Leyre i prowadź nas do stołu.

Dla moich protegowanych rozpoczęła się nowa radosna przyszłość.

KONIEC.

OD REDAKCYI.

W następnym numerze ***Nowości Illustrowanych*** rozpoczynamy druk niezmiernie zajmującej powieści znanego francuskiego autora G. de **Te'ramond**, p. t.

„TAJEMNICZY NIEZNAJOMY“

Powieść ta, której nadzwyczaj wręcz nie zadzierżgnięta fabuła utrzymuje w nieustannem napięciu uwagę Czytelnika, ma ogromne powodzenie we Francyi. Nie szczędziliśmy kosztów, aby ten największy utwór francuskiego powieścio-pisarza przełożyć na język polski i umieścić go na łamach naszego pisma. Jesteśmy przekonani, że Szanowni Czytelnicy będą nam zato wdzięczni, bo w „Tajemniczym nieznajomym“ znajdą sensacyjną i w formie literackiej podaną lekturę.

Dwudziestopięciolecie Towarzystwa nauczycieli szkół wyższych.

W oba dni Zielonych Świąt obradował we Lwowie zjazd członków Tow. nauczycieli szkół wyższych, który zbiegł się z dwudziestą piątą rocznicą istnienia tej nader pożytecznej instytucyi, mającej na celu rozwój naszego szkolnictwa i popieranie interesów nauczycielstwa szkół średnich.



Dwudziestopięciolecie Towarzystwa nauczycieli szkół wyższych: Prof. dr. Bronisław Radziszewski.

Pierwszy dzień obrad miał charakter jubileuszowy. W dniu tym po nabożeństwie zebrali się w auli uniwersyteckiej członkowie Towarzystwa, przybyli ze wszystkich stron kraju, delegaci różnych instytucyj naukowych, dostojnicy świeccy i duchowni i zaproszeni goście. Imieniem uniwersytetu, w którego murach toczą się obrady, powitał zgromadzonych rektor dr. Mars, podnosząc doniosłe znaczenie Towarzystwa i życząc skutecznych obrad, poczem prezes dr. Twardowski w dłuższej przemowie streścił ćwierćwiekową działalność Towarzystwa i oddał cześć zasłużonym pracownikom, głównie dr. Radziszewskiemu, pierwszemu prezesowi instytucyi. Po dalszych przemówieniach, w których mowcy imieniem różnych korporacyj składali życzenia Towarzystwu, prof. Buzek wygłosił referat o stanie szkół średnich w ostatnich 25 latach. Popołudnie i cały dzień poniedziałkowy obrócono na obrady fachowe, przyczem uchwalono wiele rezolucyi, odnoszących się do ważnych spraw wychowawczych i dokonano wyborów do zarządu głównego, w skład którego weszli przedstawiciele nauczycielstwa szkół średnich w całym kraju. Członkami honorowymi Towarzystwa zamianowano w bieżącym roku dr. Franciszka Próchnickiego, dr. Bolesława Mańkowskiego i dr. Z. Czerneckiego. Na szczególniejszą wzmiankę zasługuje referat prof. Łopuszańskiego z Krakowa o ośmioklasowej szkole realnej, któraby absolwentom dawała te same prawa, co obecnie gimnazyum, a miała podstawę matematyczno-przyrodniczą, aby młodzież nauczyć rozumienia przyrody i ściągnąć ją z historyi do życia nowoczesnego.

Po uchwaleniu szeregu wniosków (między innemi wniosek o przedłużenie tegorocznych wakacyj przekazano zarządowi głównemu do rozpatrzenia), postanowiono następny zjazd odbyć w Krakowie.

W niedzielę wieczorem odbył się w sali Koła literacko-artystycznego wielki bankiet, w czasie którego dr. Twardowski, hr. Stanisław Badeni i wielu innych wygłosili nader podniosłe toasty.

Wystawa kościelna we Lwowie.

Dzięki zabiegom ruchliwej Ligi pomocy przemysłowej przyszła do skutku we Lwowie w pałacu „Sztuki" na placu powystawowym wystawa kościelna, uroczyście otwarta w ubiegłą sobotę. Tego rodzaju wystawę, obejmującą całokształt tego wszystkiego, co związane jest z wyposażeniem zarówno kościołów rzymsko-katolickich, jak i cerkwi grecko-katolickich, urządzono u nas po raz pierwszy. Przedstawia się ona wspaniale i przyczyni niezawodnie do wyparcia obcych wyrobów w zakresie rzeźb, obrazów, szat liturgicznych itp., którymi nieraz zmuszone było posługiwać się duchowieństwo galicyjskie w braku odpowiednich wyrobów rodzimych lub trudności ich odszukania. W tej myśli najwyższe nasze władze duchowne i świeckie poparły gorąco usiłowania Ligi, zmierzające do urządzenia rzeczonej wystawy i otoczyły je swoją opieką.

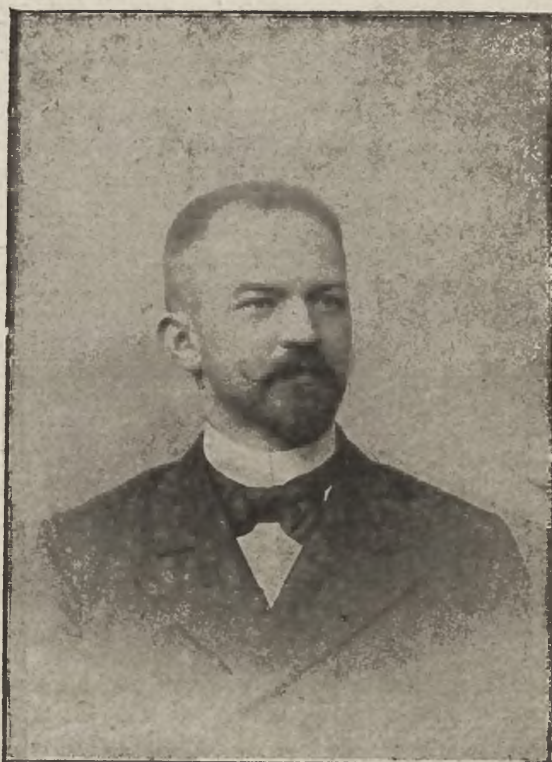
W czasie uroczystego otwarcia wystawy przemawiali wymownie o jej doniosłem znaczeniu: ks. arcybiskup Bilczewski, wiceprezydent miasta Lwowa Epler i ks. Andrzej Lubomirski, prezes Ligi pomocy przemysłowej.

Wystawa zajmuje sal siedm, w których systematycznie zostały rozmieszczone: organy, wyroby dewocyonalne, bronzy, wyroby blacharskie i żelazne, projekty budowy kościołów, szaty liturgiczne, obrazy kościelne i t. d.

Poselstwo marokańskie we Francyi.

Obecnie panujący sułtan marokański, Mulej Hafid, który z takimi trudnościami odebrał tron swemu bratu Abdul Azisowi, postanowił wysłać do Francyi specyalne poselstwo celem uregulowania niektórych kwestyj spornych z tem państwem, wynikających z niejasnej interpretacyi układu w Algeciras.

Poselstwo to składają dwaj członkowie „Maghzemu" t. j. rady przybocznej sułtana, a mianowicie: El hadzi Mohamed Mokri, minister skarbu i Si Abdalbah el Fasi, tymczasowy minister spraw zagranicznych.



Dwudziestopięciolecie Towarzystwa nauczycieli szkół wyższych: Prof. dr. Kazimierz Twardowski.

Dostojnicy ci, których portrety podajemy w niniejszym numerze, po przybyciu w ubiegłym tygodniu do Paryża, przywitani zostali na dworcu kolejowym przez przedstawiciela rządu francuskiego-



Fot. M. Münz, Lwów.

Wystawa liturgiczna we Lwowie: Grono uczestników uroczystego otwarcia wystawy liturgicznej w pałacu „Sztuki" we Lwowie.

Kronika tygodniowa.

(Rehabilitacya maja. — Dreadnoughty na Wiśle. — Stara miłość nie rdzewieje. — Wycieczki na Bielany z przeszkodami. — Tryumf Bilińskiego. — Koncesye dla Rusinów. — Rusini a dar Grunwaldzki. — Gdzie dyabeł nie może... — Alians polsko-niemiecki).

Maj, miesiąc miłości, słowików i młodych poetów, minął bezpowrotnie, zostawiając po sobie nader niemiłe wspomnienie. Skutkiem mrozu ostygły zapały miłosne, zamiast słowików uprzyjemniały nam pobyt na plantacyach gawrony, nawiasem mówiąc, bardzo sympatyczne ptaszki, a i w rymach naszych najmłodszych nadziei literatury częste odwilże pozostawiły widoczne ślady pod postacią nader wodnistych rymów. Zrehabilitowały miesiąc chyba Zielone Świątki, które go zakończyły.

Już w sobotę zarzuciły kotwicę na podgórskim brzegu cztery wiślane Dreadnoughty, które publiczność wyznania mojżeszowego z całego Kazimierza z należytym podziwiała szacunkiem. Opowiadano sobie z ust do ust, że to podgórska Rada miejska postanowiła się zemścić na Wielkim Krakowie i zbombardować krakowską gazownię, za czem przemawiało ustawianie pancerników, tu i ówdzie podnosiły się głosy, że to „Sztuka" ma bombardować „Zero", którego członkowie według jej zdania nie mają pojęcia o sztuce prawdziwej, malując śnieg biało, a trawę zielono, co powinno być akurat odwrotnie. Jeden ze znakomitych krakowskich literatów objaśnił mnie, iż to Menelik zjechał ze swoim dworem na jubileusz hr. Tarnowskiego, ale spóźniwszy się o cały tydzień, postanowił raczej zachować swe incognito. Wszystkie te wieści wydawały mi się mało prawdopodobnemi i jak się potem pokazało, zupełnie słusznie, były to bowiem statki, wynajęte przez komitet budowy pomnika Kościuszki, który choć w ten sposób chce dać znać o swem istnieniu i Towarzystwo Szkoły ludowej, aby przewieść żądnych wrażeń wycieczkowiczów na Bielany. Kto żył w Krakowie i przy końcu miesiąca posiadał jeszcze jaki taki zasób mamony, podążył też w stronę uroczego eremu białych zakonników, a las bielański, zwykle cichy i poważny, rozbrzmiewał gwarem, śmiechem i gruchaniem zakochanych par, które choć w końcu miesiąca chciały sobie powetować majowe zawody. Nastrój stał się tak romantycznym, iż nawet stary Wawel przypomniał sobie młodsze lata i począł robić „perskie oko" do swej oblubienicy, takoż leciwej Wisły, która wraz z swą córką z lewego boku, Rudawą, oddawna dzieli jego dolę i niedolę. Choć dłoń ludzka wpakowała ją w kamienną sznurówkę opasek regulacyjnych, na widok ogólnej radości i w niej serce rośnie i jej pierś podnosi uczucie, tem silniejsze, iż przez długie wieki konserwowane, a wiadomo, że i wino i uczucie, jeśli tylko prawdziwe, z latami nabiera siły i mocy.

Nic też dziwnego, iż idąc za owym prądem ogólnym, jako prawdziwy Krakowianin z krwi i kości, dobrze, jak to twierdził swojego czasu pewien kandydat na posła, bo tu w murach starego Krakowa urodzony, choć nie wysoko, bo na pierwszem piętrze przy ulicy św. Jana, postanowiłem i ja użyć przyjemności majowych i wraz z całym żywym i martwym inwentarzem wybrałem się na Bielany. W skład tego inwentarza wchodziła żona, teściowa i trzy ciotki, stare panny, jedna wielbicielka kanarków, druga kotów, a trzecia opiekunka psiego rodu. Pierwotnie postanowiłem zrobić babom przyjemność i dać im przedsmak morskiej choroby, plan ten jednakowoż upadł, gdyż ja, który nie znoszę widoku wody nawet w szklance, nie byłbym w stanie przez godzinę wpatrywać się w szare odmęty wiślane. I dobrze się stało, krakowska publika tak się bowiem niemiłosiernie pchała na parowce, jakby to chodziło o podróż do królestwa niebieskiego, a nie na Bielany. Krakowianie znani są już z tego, a podobne sceny powtarzają się na każdej stacyi i przy każdym wozie tramwajowym. Wyjechaliśmy więc furką, ciągnioną przez dwa chłopskie chabety, które znając więcej bat, niż owies, za całotygodniową ciężką pracę miały przyjemność w niedzielę i poniedziałek wozić Krakowian na świeże powietrze, a na miejscu jeszcze pełnić rolę wierzchowców. W chwili wyjazdu powstały nowe trudności. Jedna z ciotek wzięła ze sobą klatkę z kanarkami, aby i biedne ptaszęta zażyły przyjemności świeżego, niesfałszowanego i dotąd jeszcze nieopodatkowanego powietrza, druga w tym samym celu zjawiła się ze swymi dwoma kotkami, trzecia w koszyczku przytransportowała swą najukochańszą suczkę Mińcię wraz z potomstwem, które właśnie w ubiegłym tygodniu ujrzało światło dzienne. Kłopot więc z usadowieniem pasażerek; koło kanarka nie mogą być koty, które też nie zniosłyby sąsiedztwa przedstawicielki psiego rodu. Rozpoczęły się pertraktacye, panie dały upust swej przekonywującej wymowie i ostatecznie postanowiono, że każda siedzieć musi na osobnej ławeczce. Jakoż z trudem dorobiono naprędce dwa siedzenia i cała ta karawana była wreszcie gotową do wyjazdu. W dwa pudła od nowomodnych kapeluszy damskich zapakowano prowianty, parasole, kalosze i ciepłe okrycia, w dowód uznania jedno z nich miałem trzymać na kolanach.

Gdyśmy się już znaleźli w polu za klasztorem Zwierzynieckim, jedna z ciotek powiada do mnie:

— Bój się Boga, czy masz jaką broń przy sobie?... Bo nuż napotkamy bandytów!

— Może ciocia być spokojną — odpowiadam — mam przy sobie nabity browning!

— Co... browning i do tego nabity?... — jak nie wrzaśnie druga — nieszczęścia chodzą po ludziach, proszę cię wyjmij zaraz naboje, a nuż browning wypali!

— Tak... tak!... — konkluduje trzecia, a żona i teściowa popierają jej żądanie.

Ha... myślę sobie z babami trudna rada, trzeba je zadowolnić, bo nuż mi która w szczerem polu zemdleje. Wyciągam więc pistolet i zabieram się do wyjęcia nabojów, ale znowu pierwsza, która obawiała się bandytów gwałtownie protestuje. Nie chcąc sobie żadnej z nich zrazić gdyż są to niewiasty zaawansowane w latach a przytem, jak to mówią, ciepłe, więc spodziewać się należy, że przy sporządzaniu ostatniej woli nie zapomną o mnie, postanowiłem tak sprawę pokierować, aby był wilk syty i owca cała i oświadczyłem, że połowę nabojów wyjmę, by zadowolnić jedną partyę, połowę zaś zostawię w myśl żądania drugiej, co spotkało się z ogólnym aplauzem.

Już byliśmy pod Przegorzałami, gdy wtem teściowa przypomniała sobie, że dziś właśnie jest zakończenie majowego nabożeństwa, na którem być musi. Apelacya od tego wyroku była niemożliwą, nie pozostało więc nic innego, jak nawrócić na miejscu i skierować się z powrotem w stronę Krakowa. Klnąc, jak stary huzar, wysiadłem przed mieszkaniem, przysięgając publicznie, iż nigdy już w życiu nie dam się namówić na podróż z babami. Wszystkie, jak jeden mąż, obrzuciły mnie jadowitym wzrokiem i jak na komendę wygłosiły:

— Tyran! Satrapa! Na złość nie umrę. byś się spadku nie doczekał!

Ugodzony w najboleśniejszą stronę, ukłoniłem się im grzecznie i podążyłem na bombkę, a knajpki były już dzięki Bogu otwarte. Po chwili w gronie serdecznych przyjaciół roztrząsaliśmy już tajniki polityki europejskiej.

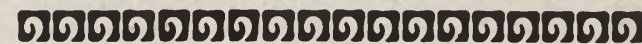
Rzecz prosta zaczęliśmy od naszej szerszej ojczyzny, jak się słusznie nazywa Austrya. Prym między naszymi politykami trzyma naturalnie ekscelencya Biliński, którego imię jest na każdego ustach, na cześć którego ulatują westchnienia przy każdej bombce i kieliszku. Niemiecka prasa godzi się już z projektami pana ministra, a wiedeńska „Zeit" oświadcza, że mowa ekscellencyi, jaką wygłosił w komisyi budżetowej, wywołała ogólne zadowolenie. Rząd wprawdzie obstaje przy konieczności podwyższenia dochodów o te sumy, jakie wykazał, ale co do dróg, które do tego celu prowadzą, gotów jest wdać się w dyskusyę, a gdy komisya finansowa uzna, że środek ten jest nieodpowiedni, zastosuje się do tego. „Neues Wiener Tagblatt" twierdzi, że Biliński miał w komisyi budżetowej powodzenie, zarówno jako finansista, jak i polityk, a program jego finansowy w kołach niemieckich zrobił wcale dobre wrażenie. Choć Czesi i Polacy protestują, Niemcy popierając plany pana ministra zachęcą go do dalszej pracy w tym kierunku i możemy być pewni, że wkrótce po piwie i wódce przyjdzie kolej na zapałki itd., aż wreszcie będziemy mieli nieopodatkowane jedynie powietrze do oddychania.

Z okazyi obrad komisyi budżetowej wyłaniają się rozmaite żale i boleści wszelkich stronnictw, a najlepiej wychodzą na tem ci, którzy najbardziej narzekają na swą krzywdę. Koło polskie znane ze swego spokojnego usposobienia, by przypadkiem rządowi nie zrobić kłopotu, toczy się powoli, natomiast Rusini wytargowali już bank rolniczo-hipoteczny we Lwowie z kapitałem dwumilionowym i prawem do piętnastokrotnego podwyższenia go z biegiem czasu. W lipcu lub sierpniu ma bank rozpocząć swą działalność. Przy tej sposobności narzekają Rusini na ucisk w Galicyi i ile mogą wymyślają Polakom, których odsądzają od czci i wiary. Że morderca Stoffów jest Ukraińcem, toć to polska intryga, że niema dotąd ukraińskiego uniwersytetu we Lwowie i temu winni Polacy, którzy nie chcą uznać jasnego blasku, jaki bije z głów młodych uczonych, wychowanych na wzniosłych tradycyach Siczy. Bardzo dobrą illustracyą sympatyi młodej Ukrainy do Polski jest przebieg rozprawy młodocianych bandytów z Kołomyi, którzy w czasie swych gościnnych występów zbójeckich manifestowali się jawnie i głośno, iż mówią tylko po polsku, języka ruskiego zaś nie lubią. Spodziewali się owi młodzieniaszkowie, iż w ten sposób zwrócą podejrzenie w stronę Polaków, co da „Diłu" sposobność do popełnienia kilku sympatycznych artykulików na temat wszechpolskich rozbojów.

Również solą w oku jest dla „Diła" grunwaldzki dar dla T. S. L., gdyż dąży do wzmożenia polszczyzny na kresach, a nadto drażni ich sprzymierzeńca, który jak twierdzi partya staroruska, markami zasila fundusze narodowe młodej Ukrainy. Jeszcze Prusacy gotowi się na Galicyę obrazić i nic już z Berlina nie kapnie na „narodnyj fond". A niebezpieczeństwo tem większe, iż zdrowo myślący Niemcy nie zgadzają się coraz otwarciej na antipolską politykę swego rządu, jak to można było skonstatować na drugim kongresie pokojowym, jaki się w ubiegłym tygodniu odbył w Stuttgarcie. Zajmowano się tam bardzo żywo kwestyą polską i naogół odnoszono się do Polaków z przychylnością, jedna tylko panna Klinger ze Sobot, jakby na dowód, że prawdziwem jest przysłowie, iż gdzie dyabeł nie może, tam babę pośle, wystąpiła z animuszem i prawdziwie po męsku, judząc przeciw Polakom.

Sympatye polsko-niemieckie są zresztą aż nadto dobrze znane, to też bardzo dziwnemi wydały mi się dyskretne wzmianki dziennikarskie o rzekomo nastąpić mającem porozumieniu Koła polskiego w Wiedniu z austryackimi Niemcami, aby w ten sposób utworzyć większość parlamentarną i uratować projekty sanacyjne pana Bilińskiego. Być może, że Niemcy obiecali naszym politykom jakie gruszki na wierzbie, ale powinni oni pamiętać, że Niemiec o tyle rachuje się ze Słowianinem, o ile go potrzebuje, gdy zaś nie widzi już żadnego interesu, z wielką przyjemnością utopiłby go w łyżce wody. Jednocząc się z Niemcami wywołaliby Polacy oburzenie przeciw sobie między wszystkiemi stronnictwami słowiańskiemi, gdyż nawet dla chwilowej korzyści nie należy zapominać o narodowych obowiązkach. Unia południowo-słowiańska już i bez tego odnosi się do Koła prawie wrogo.

X.



Z kolei. Od dnia 1 czerwca b. r. będzie kursował przy pociągach pospiesznych Nr. 7 i 8 między Wiedniem i Lwowem jeden wagon III klasy. — Ponieważ dodawanie dalszych wozów III klasy jest ze względu na obciążenie, oraz na regularny ruch tych pociągów niemożliwe, wydaje się do jazdy tymi pociągami bilety III klasy tylko w ograniczonej ilości, w miarę wolnych miejsc w tym wozie i w następujących relacyach:

DO POCIĄGU Nr. 7

z Wiednia do Tarnowa i do stacyi poza Tarnowem, z Lundenburgu (Brzecława) do Łańcuta i do stacyi poza Łańcutem, z Przerowa do Lwowa i do stacyi poza Lwowem,

DO POCIĄGU Nr. 8:

ze Lwowa do Bogumina i do stacyi poza Boguminem, z Przemyśla, Jarosławia, Przeworska i Łańcuta do Lundenburgu (Brzecława) i do stacyi poza Lundenburgiem, z Rzeszowa, Dębicy i Tarnowa do Wiednia.

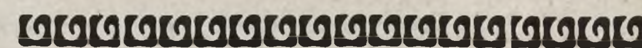
Jazda III klasą pociągami pospiesznymi Nr. 7 i 8 jest dozwoloną tylko za okazaniem biletów upoważniających do zajęcia miejsca (Platzkarten), które wydają **bezpłatnie** kasy osobowe w powyż wymienionych stacyach za okazaniem odpowiedniego biletu jazdy.

Zwraca się uwagę, że właściciele kart rocznych i biletów okrężnych III klasy muszą się również zaopatrzyć w bilety upoważniające do zajęcia miejsca w III klasie rzeczonych pociągów.

W razie przerwy jazdy w stacyach na szlaku Kraków — Lwów nie można odbywać dalszej jazdy pociągiem pospiesznym Nr. 7.

Natomiast można w razie przerwy jazdy w Rzeszowie, Dębicy i Tarnowie odbywać dalszą podróż pociągiem pospiesznym Nr. 8 pod warunkiem, że dotyczący bilet jest ważny do jazdy do Wiednia i że podróżni przed rozpoczęciem jazdy zaopatrzą się ponownie w bilety upoważniajace do zajęcia miejsca (Platzkarten) w kasie osobowej tej stacyi, w której jazdę przerwano.

C. k. Dyrektor kolei państwowych
J. Horoszkiewicz





Wycieczka do Ojcowa.

Wycieczka do Ojcowa, którą w drugi dzień Zielonych Świątek urządziła sekcya wycieczkowa krakowskiego „Ogniska“ nauczycielskiego, należy bezsprzecznie do największych, jakie kiedykolwiek były zorganizowane. Wzięło w niej udział 170 osób.



Poselstwo marokańskie we Francyi: El Hadżi Mohamed Mokri, minister skarbu.

Z uczestników wycieczki nikt prawie nie znał Ojcowa, to też widok jednego z najpiękniejszych zakątków ziemi naszej dał wszystkim niemało zadowolenia. Uczestnicy wycieczki zwiedzili groty malownicze, o których krąży [illegible] legend i rozkoszcwali się prześlicznym widokiem z najwyższej góry ojcowskiej „Chełmu“.

Największe jednak wrażenie wywarły ruiny zamku, sięgające swym początkiem czasów Bolesława Krzywoustego, a położone na wyniosłej skale, obramowanej bujną zielenią, w niezmiernie malowniczem ustroniu. Z żalem żegnali wycieczkowcy ten uroczy zakątek, słusznie nazwany „Szwajcaryą polską“ i ubolewali, że utrudniona i niezbyt wygodna komunikacya, nie pozwala na częste odwiedzanie bajecznie pięknej krainy i żałowali tych, którzy potrzebują dopiero szumnej i krzykliwej reklamy, aby poznać okolicę, mogącą stanąć w zwycięskie zawody z najpiękniejszymi dziwami przyrody w Europie.

Otwarcie wystawy „Zera“.

Tak, jak było zapowiedzianem, dnia 1 b. m. otwarta została druga z rzędu wystawa „Zera“ w salach krakowskiego Towarzystwa Przyjaciół sztuk pięknych. W dniu tym, skoro tylko stanęły otworem o godzinie 11-tej rano podwoje gmachu Towazzystwa, zaczęły doń napływać tłumy publiczności, złożonej z przedstawicieli miejscowych sfer arystokratycznych, dziennikarskich, literackich i artystycznych. Znalazło się tam również i spoiro osób z poza Krakowa, a między niemi Henryk Sienkiewicz z rodziną. Honory domu wobec zaproszonych czynił wydział związku „Zero“ z prezesem Wojciechem Kossakiem i wiceprezesem Włodzimierzem Tetmajerem na czele.

Obecna wystawa „Zera“ przedstawia się na ogół o wiele lepiej, niż zeszłoroczna. Jednakże nosi ona na sobie także cechę pewnej dorywczości — nie wszystkie obrazy pomieszczono w katalogu, innych przybycia należy się spodziewać dopiero za jakieś dwa tygodnie—co w tym razie nie znajduje wcale usprawiedliwienia wobec blisko rocznego przeciągu czasu, jaki do jej urządzenia pozostawał.

Na pierwszym planie wystawy zanotować wypada, „comme de raison“ rzeczy Jacka Malczewskiego, tego mistrza barw i rysunku, oraz głębokiego artysty, którego dusza mieści w sobie niewyczerpaną skarbnicę oryginalnych koncepcyj. Dalej świetnie wyróżnia się z pośród otoczenia Stanisława Lentza „Portret własny i Fränkla“, malowany z bajeczną wprawą i tryskający humorem. Włodzimierz Tetmajer wystąpił tak, jak na niego przystało, dając kilka kapitalnych płócien, z których bije jego kolosalny temperament i umiłowanie krakowskiego chłopa. Prawdziwą przyjemność mają liczni wielbiciele tak szybko rozwijającego się, a dużo zapowiadającego talentu Vlastimila Hoffmanna, oglądając jego ostatnie wystawione prace, okraszone poetycznym „sui generis“ wdziękiem. Powszechną uwagę zwracają na siebie Wojciecha Kossaka: „Portret p. H.“ oraz kilka innych płócien, odznaczających się właściwemi temu artyście zaletami. Tak rzadko wystawiający w Krakowie prof. Kazimierz Pochwalski nadesłał trzy portrety, będące ostatnim wyrazem wykończenia, zaś Alfons Karpiński kilka prac, które wykazują dużo zdolności i znaczne opanowanie techniki, wyrobionej na wzorach francuskich. Sympatycznymi są „Umizgi“ Wincentego Wodzinowskiego, a z wielką prawdą artystyczną malowanymi portrety Witolda Rzegocińskiego.

Brak miejsca nie pozwala nam na wyliczenie wszystkich nazwisk wystawców, których usiłowaniom zawdzięczać należy powstanie drugiej wystawy „Zera“, mogącej z pewnością liczyć na znaczne powodzenie wśród szerokich warstw naszego społeczeństwa, znudzonego bezmyślnością i małą wartością artyzmu wystaw, jakie w ciągu kilku ostatnich miesięcy przesuwały się przez sale Towarzystwa Przyjaciół sztuk pięknych. Oryentacyę na obecnej wystawie ułatwia artystycznie wykonany i licznemi rycinami ozdobiony katalog.

Rycina nasza przedstawia wydział związku „Zero“ wraz z gronem wystawców, zebranych przed gmachem Towarzystwa przy placu Szczepańskim w dniu otwarcia wystawy.

Jubileusz straży ochotniczej.

Lwowska ochotnicza straż pożarna „Sokół“ święciła w Zielone Świątki czterdziestolecie swego istnienia i swej pożytecznej działalności. Dzień ten był uroczystem świętem całego polskiego strażactwa a przedstawiciele ochotniczych straży przybyli na uroczystość jubileuszową z całego niemal kraju.

Uroczystość rozpoczęła się nabożeństwem w kościele OO. Karmelitów, skąd uczestnicy udali się w pochodzie do gmachu „Sokoła-Macierzy“. Tam wygłoszono szereg pięknych przemówień, w których mowcy składali serdeczne życzenia lwowskiej straży z powodu jubileuszu i wyrażali nadzieję, że i nadal



Poselstwo marokańskie we Francyi: Si Abdallah d' Fari, minister spraw zagranicznych.



Wycieczka do Ojcowa: Grono uczestników wycieczki z Krakowa na stoku góry.

straż ta będzte przodować całemu polskiemu strażactwu gorliwością i sumiennością w pełnieniu ciężkich ale szczytnych obowiązków obywatelskich.

Dalszym punktem programu uroczystości jubileuszowej był festyn strażacki na placu powystawo-



Wycieczka do Ojcowa: Komitet wycieczki.

wym; dzięki pięknej pogodzie zebrały się tam tłumy publiczności.

Następnego zaś dnia odbył się na dziedzińcu strażnicy miejskiej popis lwowskiej ochotniczej straży, którym ta straż dowiodła, że posłannictwo swoje doskonale rozumie. Na koniec zwiedzono urządzoną tam wystawę rekwizytów pożarnych, poczem spożyto wspólny obiad w salach strzelnicy miejskiej.

Romantyczna przygoda we Lwowie.

Dużo rumoru i sensacyjnego hałasu wywołała w ubiegłym tygodniu we Lwowie tajemnicza w pierwszej chwili sprawa zniknięcia znanych tam ogólnie artystek baletu lwowskiego teatru pp. Adeli i Wandy Sachsówien.

Charakteru niezwykle romantycznego nadał wieściom o ich zniknięciu brat ich, również baletmistrz p. Stanisław Sachs, który przestraszony nieobecnością sióstr, zwrócił się do policyi z prośbą o poszukiwania, kiedy zaś nieobecność sióstr przeciągała się, popadł w tak silne zdenerwowanie, że usiłował sobie życie odebrać.

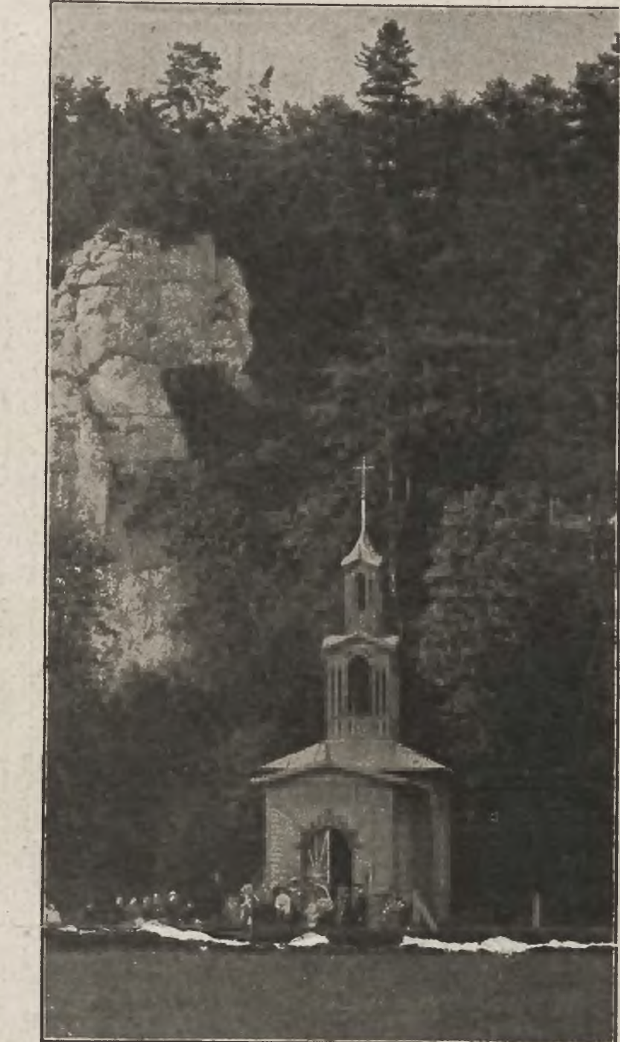
Wszystko to złożyło się na niezwykłe zainteresowanie się lwowskiej publiczności tą sprawą. Przypuszczano, że pp. Sachsówne uciekły i że ucieczka ich ma podkład erotyczno-romantyczny.

Tymczasem po kilku dniach a sprawa wyjaśniła się w zupełnie prozaiczny sposób. Okazało się mianowicie, że pp. Sachsówne dostały „angagement" do Petersburga i wyjechały tam, bynajmniej nie w zamiarze ukrycia się i nie tając tego przed bratem. Ten jednak zapadł właśnie na ciężką chorobę nerwową i wskutek tego nie zdawał sobie zupełnie sprawy z tego, co się naokoło niego działo. Zaalarmował więc w stanie tego zdenerwowania policyę, co spowodowało tak wielki rozgłos, powiększony jeszcze usiłowanem samobójstwem p. Sachsa.

Nowy Szeik-ul-islam.

Jakiekolwiekbądź reformy zamierzone, lub dokonane przez Młodoturków w państwie Osmanów nie mogą zmienić zasadniczych jego podstaw, opierających się na uświęconym tradycyą szeriacie, tj. prawie religijnem. Wedle tego prawa sułtan pozostanie zawsze kalifem — głową wszystkich wiernych — choćby nawet uznawał się za monarchę konstytucyjnego, a przy jego boku będzie odgrywał nader ważną rolę Szeik-ul-islam, najwyższy mufti, tj. tłómacz szeriatu, bez względu na wielkiego wezyra i ministrów, powołanych z szeregów większości tureckiego parlamentu.

Ostatni nawet przewrót, dokonany w Turcyi przy gwałtownej zmianie osoby panującego, dopiero



Wycieczka do Ojcowa: Kapliczka w Ojcowie.

wtedy został w oczach muzułmańskich poddanych Mahometa V-go ulegalizowany, gdy oparł się na fetwie — orzeczeniu — nowego Szeik-ul-islama, oddanego duszą i ciałem komitetowi młodotureckiemu. Dostojnik ten, nazwiskiem Sahib Mollah, cieszy się podobno wielkiem zaufaniem obecnego sułtana i ma być szczerym zwolennikiem reform konstytucyjnych, co do których orzekł, że bynajmniej nie zostają w sprzeczności z szeriatem.

Portret Sahib Mollaha, jaki w dzisiejszym numerze podajemy, wykonany został wedle zdjęcia fotograficznego, zrobionego w chwili, gdy jechał do meczetu Ejulin w orszaku Mahometa V-go, mającego tam przypasać miecz Osmana, która to ceremonia równa się koronacyi monarchów chrześcijańskich.



Otwarcie wystawy „Zera": Grono wystawców: 1. Prezes komitetu „Zera" W. Kossak. 2. Wiceprezes W. Tetmajer. 3. Sekretarz L. Kowalski.

Organizacya uczniów szkół średnich w Krakowie.

W roku bieżącym mija dziesięć lat od chwili, kiedy uczniowie szkół średnich w Krakowie i Podgórzu założyli z inicyatywy prof. Pieniążka „organizacyę polskiej młodzieży szkół średnich". Celem tej instytucyi jest dążność do jaknajściślejszego zespolenia całej młodzieży.

W okresie dziesięciu tych lat mała rzeczpospolita studencka przechodziła rozmaite losy, więcej i mniej pomyślne, na ogół jednak rozwój jej był prawidłowy i dziś odgrywa ona w życiu młodzieży bardzo ważną rolę.

Organizacya młodzieży posiada w swem łonie sekcyę czytelnianą, sekcyę wydawniczą, oraz sekcyę ćwiczebno-obchodowo-sportową. Naczelną władzę związku tego stanowi rada pułkowników.

Z okazyi dziesięciolecia istnienia organizacyi zamieszczamy dziś zdjęcie fotograficzne, przedstawiające całą radę pułkowników z odznakami ich „rangi", z pułkownikami, naczelnikiem i jego zastępcą w pośrodku.

Dla obrony listonoszów.

Jednym chyba z najmilej widzianych funkcyonaryuszy rządowych w każdem państwie jest listonosz pieniężny. Nietylko witamy go przyjemnym uśmiechem, ale także dajemy wyraz naszemu zadowoleniu z jego wizyty, wręczając mu jakiś napiwek. To małe honorarym, które otrzymuje zwykle listonosz pieniężny słusznie mu się należy, gdy zwa-

żymy, jak ciężką i odpowiedzialną służbę spełnia i jak wogóle licho jest we wszystkich państwach europejskich wynagradzany.

Oprócz ciężkiej służby listonosz pieniężny narażony jest na poważne niebezpieczeństwo ze strony indywiduów, które jak się to nieraz po wielkich miastach zdarza, dokonywują na nim napadów rabunkowych. Ostatnimi czasy podobny napad w Barlinie, którego ofiarą padł listonosz pieniężny Eulenburg, omal że nie zamordowany przez niejakiego Wilhelma Kaisera, narobił wiele hałasu i pobudził odnośne władze do poczynienia zarządzeń, mających na celu ochronę życia listonoszów.



Dla obrony listonoszów: Pieniężny listonosz berliński z psem policyjnym.

Rycina nasza przedstawia jednego z berlińskich listonoszów pieniężnych, którym tamtejsza dyrekcya poczt przydała na próbę psy policyjne celem ochrony ich życia przed napadami bandyckimi.

Ustąpienie prof. Rehmana.

Z uniwersytetu lwowskiego ustępuje z końcem bieżącego roku szkolnego jeden z najznakomitszych profesorów, wybitny uczony polski, dr. Antoni Rehman.

Zasługi prof. Rehmana około nauki polskiej są bardzo duże. Urodzony 1840 r. ukończył uniwersytet Jagielloński w Krakowie i tu się habilitował jako docent geografii. Równocześnie pracował bardzo gorliwie i bardzo skutecznie nad zbadaniem stosunków geograficznych i botanicznych w Karpatach, które zwiedził dokładnie w ciągu paru lat. Podróżował też w celach naukowych po stepach podolskich, Bessarabii, Kaukazie, Krymie, zwiedził także Afrykę południową. Rezultaty jego podróży i badań są bardzo poważne a znalazły wyraz w długim szeregu prac, ogłoszonych w języku polskim i niemieckim, bądź samoistnie, bądź w czasopismach naukowych.

Mianowany profesorem geografii na uniwersytecie we Lwowie, wychował kilka pokoleń nauczycieli gimnazyalnych. Z powodu głębokiej i rzetelnej wiedzy, z powodu niezwykle pięknych zalet charakteru i serca, cieszył się zawsze wśród młodzieży wielką miłością i poważaniem.

To też na wiadomość, iż prof. Rehman z powodu podeszłego wieku zamierza przejść na emeryturę, zwróciła się doń młodzież z gorącą prośbą, by przynajmniej jeden jeszcze rok wykładał swój przedmiot.

Niezależnie od tego zamyślają byli i obecni uczniowie znakomitego profesora urządzić na cześć jego poważną uroczystość, do której wstępem była wspólna fotografia, z ukochanym profesorem w pośrodku.

Reprodukcyę tego pamiątkowego zdjęcia zamieszczamy w dzisiejszym numerze.

Jadwiga Brzozowska.

Do operetki w krakowskim teatrze ludowym pozyskał dyr. Rygier bardzo obiecującą siłę w osobie p. Jadwigi Brzozowskiej, byłej artystki teatru miejskiego we Lwowie.

Młoda ta a bardzo inteligentna artystka jest lwowianką i tam kształciła się w szkole śpiewu p. Pożakowskiej. Przed trzema laty została zaangażowana do teatru lwowskiego a debiut jej odbył się w Krakowie, gdyż właśnie podówczas bawiła tu lwowska operetka. Debiut p. Brzozowskiej w roli Oresta w melodyjnej operetce Offenbacha „Orfeusz w piekle“ wypadł zupełnie zadowalniająco.



Jadwiga Brzozowska.

Obecnie znajdzie młoda spiewaczka szersze pole do popisu, teatr ludowy krakowski bowiem wystawi cały szereg najlepszych operetek, Po pierwszym jej występie w „Lalce“ Audrana sądząc, należy spodziewać się, że p. Brzozowska ma w tym zakresie sztuki bardzo piękną przyszłość. Do nadziei tej uprawnia zarówno miła, ujmująca powierzchowność artystki, jak głos wcale dźwięczny i dobrze wyszkolony, jak wreszcie ruchy zgrabne i pełne wdzięku, a to przecie dla śpiewaczki operetkowej są warunki pierwszorzędne.

Publiczność krakowska przyjęła p. Brzozowskę bardzo serdecznie i licznymi oklaskami dawała dowód uznania i sympatyi.



Odpowiedzi Redakcyi.

WP. J. Zygadło Nowy Sącz: Przysłane zagadki umieścimy w miarę miejsca. Do logogryfów należy zawsze dołączyć dokładne rozwiązanie, tj. podać znaczenie poszczególnych wyrazów.

WP. K. J. Sokołowski Śniatyn: I owszem, prosimy.

WP. M. M. Kęty: Nadesłane zagadki umieścimy w miarę miejsca. Prosimy o dalsze.

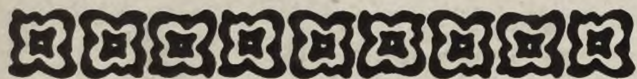
WP. Skoczybruzda Czortków: Prosimy.

WP. Ewa B. Kraków: Zagadki nadesłane będą umieszczone już w jednym z najbliższych numerów.

WP. S. Rogoyski Bochnia: Rozwiązania zagadek z Nrn 17 nie otrzymaliśmy.

WPan W. Ł, Żurawica: Bliższymi szczegółami służyć nie możemy.

WPan Stały prenumerator Kraków: Odpowiedzi dotąd nie daliśmy nie z naszej winy, lecz z powodu, iż nasz korespondent o niej prawdopodobnie zapomniał, choć go o to prosiliśmy.



Z półek księgarskich.

Klewe: **Wesołe kroniki 1906-1908.** W Brodach, nakładem księgarni Feliksa Westa. 1909.

Klewe: **Lwowskie perły.** W Brodach, nakładem księgarni Feliksa Westa 1909.

Znany humorysta lwowski, ukrywający się pod pseudonimem *Klewe*, ma już wyrobioną marką jako zdolny fejletonista. W lekki a dowcipny sposób porusza on rozmaite bieżące wypadki w swych „Wesołych kronikach“ i przesuwa przed czytelnikiem oryginalnie zaobserwowany szereg obrazków i typów w „Lwowskich perłach“. Pogodny humor, podszyty tu i ówdzie głębszą satyrą, sprawia, że te utwory autora „Pamiętnika pchły“, przyjętego tak przychylnie przez krytykę, czyta się z przyjemnością.

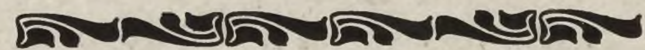


Rozwiązanie zagadek z Nr. 21.

Logogryf: Stefan Batory.
Zagadka przysłowiowa: Cnota sięga pod niebiosa.
Krzyż magiczny: Van Dyck, podanie, bryndza.
Arytmograf: Radomsk, Nemezys.
Szarada: Lunety.
Zagadka przysłowiowa: Nadzieja do grobu nie opuszcza człowieka.
Zagadka geograficzna: Granica, Gandara, Śniatyn.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp.: J. Żugaj Wilamowice, W. Laskowski Warszawa, H. Krupecki Warszawa, J. Augustynowicz Żywiec, M. Połończykowa Żywiec, A. Biliński Tarnopol, W. Ossowski Warszawa, J. Lemberger Łódź, J. Panciewicz Rzeszów. K. Wiesiołowski Czerniowce, B Lindt Rzeszów, G. Górski Radom, L. Liraszewski Sandomierz, K. Chłędowski Tarnów, L. Giżycki Rozdół, W. Czemeryński Kołomyja, S. Lindenbaum Czerniowce, J. Bartosz Lwów, W. Lesiński Kraków, M. Knapiński Lwów, R. Orzechowski Olszańska, J Sikora Lwów, M. Malicki Podgórze, J. Rawski Łańcut, W. Lipski Tarnów, K. Skąpski Warszawa, S. Aronsohn Podgórze, J. Rehman Lwów, J. Karliński Bochnia, W. Wojciechowski Kraków, J. Engelberg Mielec, W. Liskowski Kraków, R. Adler Przemyśl, S. Takliński Kraków, J. Gruber Kołomyja, W. Lipska Kołomyja, N. Ostersetzer Lwów, R. Girther Warszawa, J. Cholewiński Płock, S. Ryglicki Kraków, B. Zakszewski Kraków, J. Sokołowski Lwów, M. Napieralska Lwów, K. Gross Tarnów.

Nagrodę przez losowanie otrzymał W. Liskowacki Kraków. Upraszamy o nadesłanie 35 hal. na koszta poleconej przesyłki.



Przyczyna.

Pani (godząc kucharkę): Dlaczego opuściłaś ostatnią służbę?

Kucharka: Pani była nieprzyjaciółką armii.

W kąpielach.

Pierwszy kuracyusz: Co to panu jest, jeśli wolno spytać?

Drugi kuracyusz (Galicyanin): Ja choruję na katar żołądkowy, a na co pan łaskaw jest chorować?

Nadzwyczajne przygody reportera Józefa Rouletabille.

Zapach Damy w czerni

napisał **Gaston Leroux.**

15 (Cąg dalszy).

Rouletabille tupnął nogą i zawołał:

— Zamilcz! zamilcz, Sainclair!... Więcej mnie denerwujesz niż matka!

Zdanie to, wypowiedziane w gniewie, uderzyło mnie niezmiernie. Chciałem zapytać go o stan Damy w czerni, przerwał mi jednak mówiąc:

— 1) Sainclair nie jest Larsanem, ponieważ Sainclair był razem ze mną w Treport, gdy Larsan był w Bowig.

— 2) Profesor Stangerson nie jest Larsanem, gdyż znajdował się w drodze między Dijon a Lionem, podczas gdy Larsan był w Bowig.

— Lecz jeżeli dosyć jest być w Bowig w tamtej chwili, by być Larsanem, w takim razie wszyscy inni mogą być Larsanem, gdyż mogli bawić wówczas w Bowig.

— Przedewszystkiem Darzac tam był; następnie Artur Rance był nieobecnym w zamku przez dwa dni właśnie przed samym przyjazdem profesora i Darzaców. Stary Bob wyjeżdżał do Paryża. Wreszcie księcia Galicza nie widziano ani w grotach ani w ogrodach babilońskich...

— Weźmy naprzód Darzaca.

— Rouletabille! — zawołałem — ależ to zbrodnia, co ty mówisz!

— Wiem o tem.

— Jest to bezmyślne!...

— I o tem wiem... lecz dlaczego?

— Gdyż Larsan — rzekłem — może być geniuszem w swoim rodzaju; może oszukać ajenta, dziennikarza, reportera i powiem nawet: Rouletabille'a... może zwieść i przyjaciela... Nigdy jednak nie zdoła oszukać córki, podając się za jej ojca, ani żony, udając jej męża. A Matylda Stangerson znała Darzaca przed przyjazdem do fortu Herkulesa!..

— Ale znała też i Larsana! — dodał zimno Rouletabille. Twoje rozumowanie jest doskonałe, nie wiem jednakże jak daleko sięga geniusz mego ojca i dlatego stwierdzenie identyczności Roberta Darzaca chcę oprzeć na mocniejszych podstawach: „Jeżeli Robert Darzac byłby Larsanem, to Larsan nie ukazywałby się kilkakrotnie Matyldzie Stangerson, gdyż właśnie zjawienie się Larsana odsuwa Matyldę Stangerson od Roberta Darzaca!“

— Eh! — zawołałem... — na co się zdadzą te wszystkie roztrząsania, kiedy dosyć jest otworzyć tylko oczy!... Otwórz je, Rouletabille!

Otworzył oczy.

— I na kogo je zwrócić? — zapytał z goryczą. Na księcia Galicza?

— Dlaczego nie! Czy tak bardzo podoba ci się ten książę śpiewający rosyjskie piosnki?

— Nie! ale podoba się pani Edycie.

I roześmiał się drwiąco. Zacisnąłem pięści. Spostrzegł to, lecz nie zwrócił na to uwagi.

— Książę Galicz jest nihilistą, który wcale nie nie interesuje — rzekł spokojnie.

— Czy jesteś tego pewny?... Skąd wiesz?...

— Bernierowa zna jedną z tych staruszek, o których wspominała przy śniadaniu pani Edyta. Przeprowadziłem badanie. Jest to matka jednego z trzech powieszonych w Kazaniu, którzy czynili zamachy polityczne. Widziałem ich fotografie. Dwie inne staruszki są matkami dwóch drugich powieszonych...

Nie mogłem powstrzymać się od podziwu.

— Ah! jak widzę, nie tracisz czasu.

— I tamten także nie — odrzekł.

— A stary Bob? — zapytałem.

— Nie, mój drogi, nie! ten nie!... Widziałeś, że ma perukę, prawda?... Możesz mi wierzyć, że gdy mój ojciec kładzie perukę, to tak, że tego nie znać.

Powiedział mi to tak złośliwie, iż chciałem go opuścić. Zatrzymał mnie:

— Ale nic jeszcze nie powiedzieliśmy o Arturze Rance.

— Oh! ten się nie zmienił... — rzekłem.

— Ciągle myślisz oczami. Uważaj na swe oczy, Sainclair!...

Uścisnął mnie za rękę. Uczułem, iż jego jest wilgotna i gorąca. Oddalił się. Pozostałem na miejscu, myśląc, że źle sądziłem, mówiąc, iż Artur Rance nie zmienił się... Przedewszystkiem zapuścił wąsy, których nigdy przedtem nie miał... następnie nosi obecnie dłuższe włosy... przytem, nie widziałem go już dwa lata a człowiek zawsze się zmienia przez dwa lata... oprócz tego pije tylko wodę, gdy dawniej używał alkoholu... Lecz w takim razie pani Edyta?... Co wobec tego z panią Edytą?... Ah! czy i ja waryuję?... Dlaczego mówię, czy i ja?... jak... jak Dama w czerni... jak Rouletabille?... czyż nie uważam, że Rouletabille jakby tracił zmysły?... Ah! Dama w czerni wszystkich nas oczarowała!... Żyje ona w bezustannym strachu wspomnienia o nim i my teraz drżymy z tego samego strachu... Strach zaraźliwy jest jak cholera....

POPOŁUDNIE — DO PIĄTEJ GODZINY.

Skorzystałem z wolnej chwili i położyłem się spać w swoim pokoju; śniło mi się, że stary Bob, pani Edyta i Artur Rance stanowią zbrodniczą bandę, która postanowiła zgubę Rouletabille'a i moją. Obudziłem się pod wrażeniem tego snu i nie mogłem się z niego otrząsnąć. Wyjrzałem przez okno. Pani Edyta przechodziła przez drugi dziedziniec, rozmawiając z Rouletabill'em. Zeszedłem zaraz na dół, nie zastałem już jej jednak, udałem się więc za Rouletabille'm, który zamierzał przejść się po Wieży Czworobocznej. Był bardzo spokojny i panował nad swemi myślami, jak również i oczami, których już nie zamykał. Nic nie ukrywało się przed jego wzrokiem. Wieża Czworoboczna, miejsce zamieszkania Damy w czerni, stanowiła ustawiczną jego troskę.

Zanim rozegrają się wypadki, które nastąpiły w kilka godzin później, muszę podać dla ich zrozumienia dokładny plan parteru, zamieszkiwanego w tej wieży.

Wchodząc do Wieży Czworobocznej przez jedyne drzwi K, znajdowano się w szerokim korytarzu, który stanowił część dawnej sali strażniczej. Sala ta zawierała przestrzeń 0, 0¹, 0², 0³ i była otoczona ścianami z drzwiami prowadzącemi do innych pokoi. W sali tej Artur Rance kazał wystawić dwie ściany, przez co utworzył nowy mniejszy pokój, ale dość obszerny i przeznaczył go na łazienkę, na razie jednak zajmowali go Bernierowie. Pokój ten otoczony więc był korytarzem o prostym kącie 0, 0¹ i 0¹, 0². Drzwi prowadzące do niego znajdowały się w S i musiano koło nich przechodzić, by dostać się przez jedyne drzwi R do apartamentu państwa Darzac. Jeden z małżonków Bernierów zawsze znajdował się w tym pokoju i czuwał przez okno I nad drzwiami V apartamentu starego Boba. Gdy państwo Darzac nie byli u siebie, drzwi ich były zamknięte na specyalny zamek, który sprowadził Rouletabille, klucz zaś znajdował się u Bernierów.

Rozporządzenie wydane co do apartamentu państwa Darzac, Rouletabille chciał zastosować i do mieszkania starego Boba, przeciw czemu jednak ten zaprotestował z komicznem oburzeniem. Stary Bob nie chciał być traktowany jak więzień i upierał się przytem, by mógł wchodzić i wychodzić od siebie bez żądania klucza od Bernierów. Wskutek tego drzwi K musiały pozostawać otwarte. Żądanie to poparła i pani Edyta w sposób nadzwyczaj ironiczny, Rouletabille chce pilnować starego Boba na równi z córką profesora Stangersona, w końcu też Rouletabille ustąpił, ale pod tym warunkiem, by drzwi K o godzinie dziesiątej wieczorem były zamknięte a klucz znajdował się u Bernierów. I to jeszcze zawadzało staremu Bobowi, który nieraz pracował późno w nocy, ale nie chciał już sprzeciwiać się dzielnemu Rouletabille'owi, przejętemu, jak sądził, strachem przed złodziejami. Muszę tu dodać na obronę starego Boba, iż nic nie wiedział o wskrzeszeniu Larsana-Ballmeyera. Słyszał on o dawnych nieszczęściach tej biednej panny Stangerson, ale na myśl mu nawet nie przychodziło, iż zawisły nad nią obecnie cięższe jeszcze ciosy. A przytem stary Bob, jak i wszyscy uczeni, był egoistą, zadowolonym z posiadania najstarszej czaszki ludzkiej, uważał iż wszyscy dokoła niego powinni się z tego cieszyć.

Rouletabille po zamienieniu kilku słów z Bernierami poprosił o otwarcie nam drzwi do mieszkania Darzaców. Poraz pierwszy wchodziłem tutaj, było tu ciemno i chłodno. Pokój był obszerny, stało w nim łóżko dębowe, szafa, na środku biurko, fotel i trzy krzesełka; w oknie I, którego grube mury stanowiły głębokie wgłębienie, znajdował się stolik toaletowy; drugie okno I¹ było węższe, oba zaś miały grube żelazne kraty, przez które zaledwie można było przesunąć rękę. W pokoju tym nie było miejsca, gdzieby mógł się kto ukryć, z wyjątkiem tylko szafy, ale do niej za każdym razem zaglądali Bernierowie i Rouletabille, gdy bawili tutaj.

(Ciąg dalszy nastąpi).